Nr. 43. Lwów, Niedziela dnia 23. Czerwca 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

NASZA KRYTYKA.

„Łatwą jest krytyka, trudnem autorstwo“, powiedział pewien filozof niemiecki i słowa te poszły w obieg, przyjmowane wszędzie za najlepszą monetę. W istocie jest dużo prawdy w tem powiedzeniu. Praca, nad którą autor przesiedział długie dni i nocy, może być jednym rzutem oka objętą przez krytyka i główne jej wady mogą być od razu przez niego wskazane. Szczególnie, gdzie chodzi o krytykę estetyczną, tam wprawny krytyk od razu rozpoznać może wartość owocu, który mu dano do skosztowania; smak bowiem estetyczny jest u niego jakby szóstym zmysłem. Nie potrzebuje on długo żuć i rozważać, aby odróżnić prawdziwe uczucie od fałszywej deklamacyi, prawdziwą uroczystość stylu od przesady patetycznej, prawdziwy humor od wykrzywiania się w kierunku humorystycznym, jednem słowem ziarno od plewy.

Ale i krytyka ma swoje autorstwo, i dlatego owo powiedzenie, że krytyka jest łatwą, należy do prawd bardzo względnych. Rzucić bez ładu swoje spostrzeżenia i uwagi, puścić fajerwerk retoryczny, popisać się zmobilizowaną naprędce erudycyą, wyciągnąć wady utworu dlatego tylko, aby dać dowcipowi swemu sposobność do produkcyi — tego rodzaju krytyka nie zajmie wiele czasu i nie będzie zaprawdę rzeczą trudną, ale też i z krytyki takiej nie ma żadnego pożytku. O krytykach pochwalnych, pisanych przez przyjaciół, nie mówię tu już wcale, bo te właściwie należą do dziedziny reklamy.

Ale uporządkować i uzasadnić zarzuty, dotrzeć do głównej przyczyny błędów, rzucić pełne światło na dobre strony i tak je uplastycznić, aby tem wyraźniej zarysowały się cienie, a zrobić to wszystko ze spokojem naturalisty badającego przyrodę, z dobrą wolą bezinteresownego i nienatrętnego doradcy, ze znajomością rzeczy, która nie wybiega naprzód, aby się pokazać, i z dowcipem, który przyjemnie ożywia, ale nie daje się ciągnąć chęci popisania się: — taka krytyka jest bardzo rzadkim, szczególnie u nas, pojawem, i napisanie takiej krytyki jest rzeczą nierównie trudniejszą, niż się to może zdawać ludziom, lekko przebiegającym oczyma po drukowanym papierze.

Taka krytyka ma niezwyciężoną siłę, a wpływ jej na literaturę nieoceniony. Nie dość tego, że piszący widzą w niej, jak w prawdziwem zwierciedle swoje wady i zalety, ważniejszą jeszcze jest to rzeczą, że publiczność uczy się na takich krytykach myślić i sądzić głębiej, uczy się smakować w rzeczach trwalszej, choć nie błyskotliwej wartości, a oddziaływając na handel księgarski, pośrednio wprawdzie, ale bardzo silnie oddziaływa i na literaturę.

Czy mamy taką krytykę? Uderzmy się w piersi i powiedzmy, że jej nie mamy. Naturalnie, nie chcę przez to powiedzieć, żeby nie było na całym obszarze Polski ludzi, zupełnie odpowiadających powyżej skreślonemu zadaniu i od czasu do czasu występujących z jakąś krytyką poważną, uczącą zdrowego sądu i pobudzającą do myślenia, ale liczba ich zbyt mała, a działalność jeszcze mniejsza, by głos ich mógł wywrzeć jakiś wpływ stanowczy na sąd ogółu. Natomiast ta krytyka powszednia, podawana w szpaltach dziennikarskich, codziennie wciskająca się do uszu czytelników, zdolna zatem najtrwalej na nich odziaływać, ta krytyka jest tak licha, mizerna, tandetna, tak komicznie pewna siebie i napuszona, tak powodująca się koteryjnymi stosunkami, tak stereotypowa a bałamutna, że głęboki smutek musi opanować każdego, kto zdaje sobie sprawę z ważnego powołania krytyki, a zbliska się przypatrzy temu, co nosi jej miano, tak w dziennikach lwowskich i krakowskich, jak i warszawskich.

Dwie świeżo przebrzmiałe sprawy, Spasowicza i Wilczyńskiego, były jaskrawym dowodem tej niedojrzałości i bałamutności naszej krytyki gazeciarskiej. O odczytach Spasowicza wydawano już apodyktyczne sądy przed ich ukazaniem się, potem wysłuchano ich i nie zrozumiano, poprzekręcano zdania, wyprowadzano wnioski o nich wręcz sprzeczne z poglądami prelegenta, jednem słowem nawarzono takiej kaszy krytycznej, że tylko tak cierpliwi czytelnicy, jak są w ogóle nasi, mogli to wszystko przełknąć tak cierpliwie. W sprawie Wilczyńskiego koteryjna zaciekłość z muchy zrobiła słonia, nie weszła w głąb rzeczy, schwyciła dogodny dla siebie pozór i wojowała nim, jak maczugą.

Jakiż znaleźć sposób przeciwdziałania tym smutnym stosunkom?

Drogi konkursów, zastosowywanej do rozmaitych sfer działalności literackiej w celu pobudzenia ich do większego rozwoju, nikomu nie przyszło jeszcze na myśl zastosować do krytyki. Bezwzględnie ufać w siłę konkursów, wierzyć, że zdolne są one stworzyć siły, które przedtem nie istniały, byłoby rzeczą śmieszną; nie można jednak zaprzeczyć, że mogą one wywołać, wydobyć na jaw w cieniu gdzieś ukryte siły, a co może ważniejsze od wszystkiego, że zwracają oczy wszystkich na panujący pod pewnym względem w literaturze niedostatek. Gdyby więc ktoś ogłosił konkurs na napisanie dobrej krytyki pewnego dzieła lub całego szeregu dzieł pokrewnych, przyczyniłby się niewątpliwie choć trochę do wyprowadzenia naszej krytyki z dziwnego stanu zaniedbania.

Inne sposoby leżą w ręku dziennikarstwa. Dopóki poważniej nie zacznie ono patrzeć na potrzeby krytyki, dopóki ta ostatnia będzie zbywaną kilku wierszami, splecionymi z banalnych frazesów, dopóki będzie traktowaną na równi z codziennemi, brukowemi wiadomościami, dopóty nie ma nadziei na jakiekolwiek polepszenie w tym względzie.

Otworzyć dział krytyczny, poruczać krytykę ludziom fachowym, a nie żądać od jednego człowieka, aby pisał recenzye z dzieł beletrystycznych i filozoficznych, historycznych i przyrodniczych, płacić przynajmniej dwa razy więcej za niezłą krytykę, niż się płaci za wyciągi z gazet, wiadomości o pogodzie i kombinacye polityczne jednodniowej wartości, podnieść ją nad koteryjne protegowanie przyjaciół — oto co pozostaje zro-

bić naszemu dziennikarstwu, szczególnie temu co rozrządza większymi środkami, jeżeli chce być wolnem od zarzutu, że jest główną przyczyną trzymania naszej krytyki na najniższym szczeblu.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Tego wieczora żyd siedział długo z córką w jej alkierzyku. Był to pokoik nie wielki; sprzęty w nim proste, ale troskliwość ojcowska umiała przeistoczyć go na prawdziwe pieścidełko. Drewniane ściany i podłoga zakryte były perskimi dywanami; pięknymi gobelinami zasłonięto drewniany słół, na którym stało mnóstwo kosztownych drobiazgów. Toaleta młodej żydówki także zaopatrzona była w najwybredniejsze potrzeby, a u powały wisiała alabastrowa lampa. Druga lampa ze szkła mlecznego paliła się na stole, oświecając czerwono-żółtem światłem twarze ojca i córki, pochylone nad szkatułką, z której ojciec dobywał jakieś kosztowności i podawał córce. Amelka była ubraną, jak wtedy, gdy ją pierwszy raz Jan zobaczył; tylko głowy jej nie okrywał turban, jeno rozczesane włosy rozsypały się szeroko po ramionach. Oczy jej z dziecinną radością przyglądały się kosztownym podarunkom, które ojciec wyjmował ze szkatułki. Były tam kolczyki w kształcie kół nabijane rubinami i dyamentami. Takiż sam naszyjnik leżał na aksamitnem dnie. Stary wyjął go, zawiesił córce na piersiach i z zadowoleniem przyglądał mu się.

— Będziesz w nim wyglądała jak księżniczka. Idź, zobacz do lustra, jak ci w nim ładnie.

Wstała i poszła do lustra w pięknych rzeźbionych ramach, wiszącego w głębi pokoiku. Ojciec wziął lampę ze stołu i poszedł za nią patrząc z dumą i uciechą na swoją jedynaczkę.

— Prawda, że bardzo piękne — mówiła przeglądając się — zdaje się, że te kamienie ruszają się, że te miliony różnokolorowych szkiełek żyją i skaczą. Musiałeś drogo za to zapłacić.

Żyda twarz, która promieniała radością na widok córki tak pięknie przystrojonej, pociemniała nagle i mruknął pod nosem:

— Co ci do tego, co ja dałem.

— I to ma być dla mnie?

— I jeszcze coś więcej — odezwał się znowu ożywionym głosem.

Poszedł do kuferka, wyjął z niego jakąś paczkę, rozwinął papier i strumień czarnego, lśniącego, matowem połyskiem aksamitu wypłynął z pod jego rąk na podłogę, gnąc się w miękkie draperye.

— Aksamit? zawołała z dziecinną radością.

— Ale jaki aksamit? Patrz! w najlepszym gatunku; prawdziwy lijoński.

I wziął delikatnie w dwa palce aksamit, podniósł ku światłu, gładził go i mówił:

— Takiego nie dostałby u nas nawet za dziesięć reńskich. A jak on na tobie będzie pięknie wyglądał.

Zarzucił jej na ramiona i ułożył w fałdy; potem odstąpił parę kroków i przyglądał się z upodobaniem, przechylając głowę to na jednę, to na drugą stronę.

— I cóż mi każesz zrobić z tego ojcze? — spytała przeglądając się w lustrze.

— Co będziesz chciała; jest go na tyle, że nawet na suknię wystarczy.

— A tu właśnie jest krawiec, który bardzo dobrze robi.

— Jakto? chciałabyś tutaj, a to dla kogo? Dla Sury? Jak wyjedziemy z tej dziury do dużych miast, to tam będziesz się stroić. Niech to jeszcze leży w kufrze.

To powiedziawszy zaczął zwijać i pakować aksamit.

— To może i w naszyjnik nie dasz mi się ubrać? — spytała zasmucona i radosny wyraz zgasł na jej twarzy.

— Co tobie tu potem? Jakby cię w tem zobaczono, toby może jakiemu złemu człowiekowi przyszła ochota zrabować cię. Wasz dom na uboczu, dwie kobiety w domu same, to o nieszczęście nie trudno. Bezpieczniej będzie, jak je dobrze schowam.

— To po cóż zwozisz mi te kosztowności, kiedy się w nie ubrać nie mogę? — spytała nadąsana i chmurna.

— Po co? Abyś wiedziała, że myślę o tobie. Ty pewnie tak o ojcu nie myślisz, jak on o tobie. Gdzie tylko co pięknego zobaczę, to zaraz sobie myślę, jakby w tem było dobrze mojej Malci i bierze mnie zaraz ochota nabyć to dla ciebie.

— I cóż mi z tego? — mruknęła i odwróciwszy się usiadła na kuferku.

— Cierpliwości, moje dziecko. Przyjdzie czas, że te wszystkie kosztowności będziesz mogła pokazywać światu i pysznić się niemi. Tu, niech ci się zdaje że jesteś na popasie w podróży. Nie długo już tego. Może nawet jeszcze przed zimą będę cię mógł ztąd zabrać.

— Już przed zimą? — spytała z przestrachem. Mnie tu bardzo dobrze.

Żyd ze zdziwieniem spojrzał na nią.

— Przecież nie dawno narzekałaś, że tu umrzesz z nudów. Prosiłaś, żebym cię jak najprędzej ztąd zabrał.

Malka zmięszała się i nie wiedziała co odpowiedzieć. Rzeczywiście niedawno jeszcze życie w tej mieścinie, na uboczu, w zamknięciu, wydawało jej się okropnem i niecierpliwie oczekiwała chwili, w której ojciec ją ztąd zabierze. Teraz zaś inaczej jej się to wydawało, i na samą myśl, że musiałaby ztąd wyjechać, zrobiło się jej dziwnie smutno. Sama dziwiła się tej zmianie i nie umiała wytłómaczyć się z tego przed ojcem. Zaczęła coś mówić, że się przyzwyczaiła, że takie życie w ukryciu ma także swój powab; ale ojciec nie zdawał się być przekonany tem tłómaczeniem, patrzał badawczo w oczy córki i biorąc ją zwolna za rękę, odezwał się poważnie:

— Malciu! ty nie jesteś szczerą z twoim ojcem. Spojrzyj mi w oczy. Prawda, ciebie tu nie samo przyzwyczajenie tak trzyma?

Małka zarumieniła się. Zapytanie ojca rozświeciło nagle tajemnicze ciemności jej duszy, i przy tem świetle zobaczyła to, o czem nie wiedziała, że jest w niej. Ojciec widział to zarumienienie, które potwierdzało jego domysły i mówił dalej:

— Wiem, mówiła mi Sura, że do Leszczyców przyjechał ich syn. On może starał się ująć cię pięknemi słówkami? Może ci mówił, że cię kocha?

Dziewczyna zamiast odpowiedzi rzuciła się w objęcia ojca, skryła twarz na jego piersiach i wybuchnęła głośnym płaczem.

Żyda przestraszył ten płacz, zmarszczył brwi i spytał surowo:

— Małka, czego ty płaczesz?

— Bo... bo on mi tego nigdy nie powie — mówiła łkając.

— Czego ci nie powie?

— No, tego, o czem mówiłeś... — wstydziła się wymówić to słowo. Ojciec musiał jej pomódz.

— Że cię kocha? — spytał.

— Tak — odezwała się, kryjąc jeszcze bardziej twarz i płacz jej wzmógł się.

— Dla czego?

W tem zapytaniu czuć było obrażoną dumę ojcowską. O ile wprzódy niepokoił się podejrzeniem, że młody Leszczyc bałamuci mu córkę, o tyle teraz czuł się dotkniętym obojętnością jego dla swej jedynaczki.

— Dumny może? — dopytywał się córki.

— Nie, on jest bardzo dobry dla mnie; ale ja wiem, ja to czuję, że on by mnie nie mógł pokochać.

— To znajdzie się inny. Nie będziemy się go prosić. Będziesz miała w kim wybierać.

— Ja nie chcę nikogo — i zaczęła znowu płakać.

— No, Małka, nie bądź głupia, nie płacz, nie ma jeszcze o co. Jeżeli on ci się podoba, to będzie twoim. Pogadam o tem ze starym, wymiarkując.

— O! mój ojcze, jakiś ty dobry.

— No, tylko mi nie płacz, ty wiesz, że ja tego nie lubię.

Zaczęła się śmiać do niego przez łzy i całowała go z radością i powtarzała:

— Ach, gdyby to być mogło, gdyby to być mogło, jakbym ja była szczęśliwa.

— Będziesz, będziesz, on przecież nie królewicz, żeby tak trudno było dostać go za męża i jeszcze tobie.

— Więc myślisz ojcze, że ja mogłabym mu się podobać? — spytała nieśmiało.

— Komu byś się ty mogła nie spodobać, dziecko moje — mówił żyd z dumą i radością, która jak brylantowemi iskierkami błyskała mu w czarnych ruchliwych oczach. Tulił córkę do piersi i pieścił ją i całował, aż wśród tych pieszczot usnęła zmęczona łzami i bezsenną nocą przy Leszczycowej.

Ojciec delikatnie złożył ją na sofie, czas jakiś siedział przy niej, wpatrując się z miłością i zajęciem w śpiącą; potem wstał, zabrał skrzynkę z kosztownościami, paczkę z aksamitem i wyszedł na palcach z alkierza.

Amelka spała tak parę godzin snem twardym, w którym miała jakieś rozkoszne sny. Co jej się śniło, nie mogła sobie przypomnieć na żaden sposób po przebudzeniu; ale zostało po tych snach jakieś uczucie błogie, i dla tego nie otwierała oczów, chcąc jak najdłużej utrzymać to rozkoszne wrażenie.

Nagle coś sobie przypomniała i zerwawszy się z sofy, spojrzała po pokoju, a potem na zegar. Była już dwónasta. Domyśliła się,

że ojciec już musiał pójść do siebie i zapewne jak zwykle, jutro rano odjedzie, nim ona jeszcze się przebudzi. Dla tego chciała go jeszcze pożegnać, podziękować mu; a bo i miała mu za bardzo wiele dziękować dzisiaj; słowa jego dodały jej tyle otuchy i wiary w szczęście.

Wstała więc, odgarnęła włosy z czoła na ramię, wdziała niebieski pantofelek, co podczas snu spadł jej z nóżki i poszła do pokoju, w którym zwykle ojciec mieszkał, ile razy przybył ją odwiedzić. W pokoju tym jednak nie zastała nikogo; łóżko nawet było nie rozebrane. Na stoliku paliła się świeca, a obok niej leżała fajka niedopalona. Była pewną, że ojciec poszedł do Sury, ale i tam go nie zastała, ani Sury. W pokoju było ciemno i łóżko Sury także było nie tknięte. Teraz już nie mogła nic innego przypuścić, tylko, że poszli do ogrodu. Noc była ciepła, pogodna. Amelka chciała tam iść odszukać ich; ale przechodząc przez cień spostrzegła światło przez uchylone drzwi w piwnicy. Zajrzała tam z ciekawością i usłyszała głos Sury, która stała w głębi piwnicy pod ścianą trzymając lampę nad ogromną skrzynią okutą żelazem; ojciec zaś jej pochylał się co chwila do wnętrza skrzyni, wyjmował z niej, jakieś szkatułki, to znowu jakieś jedwabne materye, rozwijał je, oglądał, oczyszczał z kurzu i znowu starannie owinąwszy chował napowrót do skrzyni. Ciekawość Amelki była niesłychanie zaostrzona tym widokiem. Nie była nigdy w tej piwnicy, nie wiedziała nic o tej skrzyni, kiedy ją tu wniesiono. Gdy tu przyjechały na mieszkanie, wszystkie sprzęty i rzeczy ich przywieziono na jednej furze. Takiej skrzyni nie widziała wtedy, a potem nie przywieziono nic podobnego. Zdziwienie jej było jeszcze większe, gdy za poruszeniem światła, które trzymała Sura, zobaczyła w głębi piwnicy jeszcze jakieś kufry. Zkąd się to tutaj wzięło? Tego sobie nie umiała wytłómaczyć. Te kosztowności, które ojciec wydobywał ze skrzyni, przypomniały jej żywo owe legendy o zaklętych skarbach w piwnicach, o których tyle piastunka jej gadała nieraz. Zdawało jej się, że weszła do jednej z takich piwnic. Sura z twarzą żółtą o ostrych rysach, które światło lampy jeszcze w ostrzejsze rzeźbiły linije, robiła jej wrażenie czarownicy, a ojciec — robiła sobie wyrzuty w duszy, że jej mogło przyjść podobne porównanie — ale ojciec przypominał jej w tej chwili jednego z owych legendowych rozbójników, tak twarz jego była w tej chwili ponura, tak dziko patrzały oczy jego, a sfałdowane zamyśleniem czoło nadawało jeszcze więcej srogiego wyrazu jego twarzy. Amelka nigdy go takim nie widziała. Ile razy był z nią, twarz ta miała wyraz łagodny, oczy uśmiechały się. Prawie nie poznawała teraz ojca, bała się go w tej chwili, i chcąc co prędzej zmienić groźny wyraz jego twarzy, zeszła po cichu po schodkach do piwnicy, zbliżyła się do ojca i aby zwrócić jego uwagę na siebie, krzyknęła. W tej chwili Sura wzdrygnęła się tak, że lampa wypadła jej z dłoni i zgasła, a żyd głosem jakimś chrapliwym, okropnym, w którym malowała się śmiertelna trwoga i wściekłość ranionego zwierzęcia wrzasnął:

— Kto tu? — i macając wśród ciemności chwycił córkę silną dłonią za gardło.

Amelka oniemiała z trwogi, straciła przytomność i dygotała cała.

— Kto tu? — powtórzył żyd i silniej ścisnął ręką, którą trzymał jej szyję. Nie mogła już oddychać prawie, ani głosu wydobyć przez ściśnięte gardło; szarpnęła się z wysileniem, by wyrwać się z jego ręki, i szamotała się z nim wśród ciemności; gdy wtem uczuła, że jakieś inne ręce z tyłu chwyciły ją mocno i ciągły ku ziemi. Rozpacz dodała jej sił trochę i z całą mocą, na jaką zdobyć się mogła z obawy o życie, wyszeptała przez ściśnięte gardło:

— Puśćcie mnie! — ojcze!

W tej chwili palce ściskające jej szyję popuściły, i równocześnie odezwał się głos wzruszenia i zdziwienia pełny.

— Czy to ty Amelko?

— Ja — odrzekła zmęczona pasowaniem się, i bezsilna potoczyła się na niego.

— Światła, hej Sura, światła prędzej — zawołał żyd przerażony. Dawaj prędzej światła, wody.

Sura klepiąc pantoflami pobiegła na górę. Żyd tymczasem uspokajał córkę, która dygotała w jego ramionach, jak zraniony ptak.

— Malciu! moje dziecko, uspokój się. Mów, odezwij się, czy ci nie zrobiłem co złego? Nie boli cię co? No Malciu, nie bój się.

I nie czekając, aż Sura wróci ze światłem, wziął córkę na ręce i wyniósł z piwnicy.

Świeże powietrze i woda, którą podała Sura, wnet orzeźwiły i wzmocniły Amelią, że mogła już utrzymać się na nogach. Ojciec kazał Surze odprowadzić ją do alkierza a sam wrócił do piwnicy, pozamykał starannie skrzynię na kilka kłódek i zamków; potem drzwi od piwnicy, a zamknąwszy popróbował jeszcze parę razy dla przekonania się, czy dobrze zamknięte. Robił to wszystko z pospiechem, bo mu pilno było do córki. Idąc do niej miał twarz mocno zafrasowaną i głęboko zamyśloną. Nawet uśmiech córki, z jakiem powitała go wchodzącego, nie zdołał spędzić chmury, co się rozsiadła na jego czole.

— No cóż, lepiej ci? — spytał siadając obok niej.

— Już mi teraz bardzo dobrze. Ale mało brakowało, żebyś mnie był zgniótł jak kurczę w rękach — mówiła łagodnym uśmiechem. — Czemuż ty taki zły byłeś? Ja cię jeszcze nigdy takim nie widziałam. Bałeś się, że ci zabiorę te skarby, coś tak starannie chował przedemną. Powiedz mi ojcze, zkąd one się tam wzięły?

Żyd niespokojnie poruszył się na stołku, spojrzał na Surę, która milcząc stała w kącie i patrzała mu w twarz, jak pies czekający na skinienie swego pana. Porozumieli się spojrzeniem i Sura wysunęła się z alkierza. Córka powtórzyła ojcu ostatnie pytanie, domagając się z dziecinnem naprzykrzaniem odpowiedzi. Żyd zdawał się wahać i namyślać.

— Powiedz mi najprzod, zkąd ty się tam wzięłaś? Jak tam trafiłaś? Wszak już spałaś, kiedym odszedł od ciebie.

Amelka z całą szczerością opowiedziała mu, w jaki sposób odszukała ojca w piwnicy. Opowiadanie to uspokoiło go trochę.

— No, a teraz na ciebie kolej — rzekła sadowiąc się obok niego i patrząc mu z dziecinną ciekawością w oczy. — Zkąd ty przyszedłeś do tych skarbów? Widziałam jakieś drogie materye, srebrne tace, kubki misternej roboty, gdy im się przyglądałeś przy świetle i ocierałeś rękawem z pleśni. Zkąd się to wszystko u nas wzięło? Czy to wszystko twoje? nasze?

Zarzucała go pytaniem; żyd nie wiedział na co pierwej odpowiadać i widocznie ważył w myślach to, co miał powiedzieć. Po chwili odezwał się:

— Widzisz, to są wszystko rzeczy zastawione. Kiedy się ożeniłem z matką twoją, nie wiedząc do czego się wziąć, zaczęliśmy pożyczać na fanty. Poszczęściło się nam i zebraliśmy gruby grosz z tego. Wszedłem potem w spółkę z bogatszymi i już braliśmy większe zastawy, nieraz na parę tysięcy reńskich. A choć później wziąłem się do handlu zbożem, nie porzuciłem jednak tego zyskownego interesu. Więc uważasz, te kosztowności coś widziała, to nie moje. Ja tylko mam w nich trochę mego kapitału, resztę mają wspólnicy moi.

— A Nuchem jest także twoim wspólnikiem. Teraz rozumiem.

— Co rozumiesz? — spytał żyd patrząc podejrzliwie na córkę.

— Że ci dlatego tak wiele zależy na nim.

— A tak, bardzo wiele. Bo widzisz, niektóre z tych zastawów leżą już bardzo dawno i nikt się po nie nie zgłasza. Może właściciele poumierali, albo podupadli. Więc to już nasz zysk. A jakby jemu przyszła ochota donieść o tem do sądu, to mogli by nam to zabrać, i nie wiele dostalibyśmy za to. Rozumiesz?

Tłómaczenie było dość niejasne; ale Amelce, która słuchała z dziecinną łatwowiernością i nie znała się wcale na podobnych interesach, wydawało się to aż nadto zrozumiałem. Prosiła tylko ojca, by jej kiedy pokazał te zastawy, bo to, jak mówiła, musi być bardzo ciekawy zbiór.

Gawędzili tak długo, że doczekali się brzasku dnia. Żyd radził córce, aby się udała na spoczynek, bo nie wiele spała tej nocy.

— To nic, będę mogła naspać się w dzień, a teraz chcę nacieszyć się tobą, dopóki tu jesteś jeszcze tych parę godzin.

— Będziemy mogli jeszcze nacieszyć się sobą — rzekł żyd głaszcząc córkę po rozpuszczonych włosach — bo ja nie odjadę tak prędko. Zabawię tu z wami parę tygodni może.

(C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

System opiekuńczy, podtrzymywany wpływem wielkich przemysłowców, zaledwie był dotknięty, wychowanie szeroko rozpowszechnione, lecz zawsze ręką państwa, odpychającego swobodę nauczania. Dając kościołowi katolickiemu niezależność, jakiej używa w Belgii, danoby mu zajęcie, i rozbrojonoby go, pozostano jednak przy prawodawstwie, którego nie śmiano już zastosować. Jątrzono tylko duchowieństwo i w końcu ustąpiono mu. Prawo stowarzyszeń, wielka dźwignia Anglii, zostało zakazane, prasa skrępowan

i tem samem ograniczona do małej liczby dzienników, uważana była za niebezpieczną, gdy tymczasem, rozpraszając ją łatwo było uczynić ją bezbronną, jeżeli już nie zyskać w niej podpory. W rezultacie mieliśmy zawsze administracyę cesarską, ożywioną, co prawda, duchem liberalnym i ograniczoną przez jawność. Tak więc jeżeli zdołano zagoić na pewien czas wadę pierwotną, to bynajmniej jej nie wyleczono. Inną drogą prowadzi się naród do wolności.

Mniemanie powszechne, powiedzą, nie domagało się niczego więcej. Na trybunie i w prasie kłócono się o władzę raczej, aniżeli myślano o ograniczeniu takowej. Stronnictwo tylko pewne żądało swobody nauczania, aby obrócić ją na swą korzyść. Stowarzyszenia służyłyby tylko sektom gwałtownym, zagrażającym państwu, rodzinie i własności. Prasa bez kaucyi i bez stępla uniknęłaby kary.

Powody te były łudzące, i pojmuję dla czego ustąpiono przed niemi. Przyznaję także, że ministrowie, bezustannie zagrożeni na trybunie, i żyjąc tylko z dnia na dzień, mieli wielkie trudności z przygotowaniem niezbędnych reform. Nie mniej wszelako jest prawdą, że w Belgii, wśród tych samych trudności i w tym samym przeciągu czasu, umiano uorganizować wolność, podczas gdy we Francyi wszystko kończyło się szermierką na trybunie, wspaniałą wprawdzie, lecz bezpłodną. Była to wymowa, ale nie polityka. Przekonano się o tem, lecz już zapóźno, bo na brzegu przepaści. Kraj zrażony bezcelowemi sprzeczkami stał się obojętnym na własne swoje losy; dość było jednego zaburzenia, by obalić rząd, który szczerze kochał Francyą i dał jej ośmnaście lat dobrobytu i bezpieczeństwa.

Rewolucya 1848 roku pokazała, o ile obcemi są pojęcia liberalne naszemu pokoleniu. Za restauracyi broniono prawdziwych zasad. Benjamin Constant, Pani de Staël, J. Chr. Say i jego szkoła mieli poczucie wolności, rządy cesarskie otworzyły im oczy. W roku 1848 po trzydziestu trzech latach rządu konstytucyjnego, cofano się do najzgubniejszych błędów pierwszej rewolucyi. Publicyści, wrzekomo wyżsi, ogłosili, że osobnik stworzony jest dla społeczeństwa, nie zaś społeczeństwo dla osobnika, był to powrót do mowy społecznej, i do tyranii konwencyi; utopiści znosili rodzinę, i zamierzali pomieścić Francyą w warsztatach. Prawodawcy przesiąkli przesądami i zawiścią 1789 roku, nie wyobrażali sobie nic lepszego dla utwierdzenia rządów demokracyi, nad poniżenie władzy wykonawczej, jak gdyby władza energiczna nie była pierwszą rękojmią wolności.

Koniec tej polityki był niewątpliwy, był on wypisany na wszystkich stronicach dziejów. Naród użył swego zwierzchnictwa dla pozbycia się bezrządu. Po zaburzeniach, wojnie domowej, groźbach i szaleństwach prasy, obawiano się nawet samego imienia wolności, jakkolwiek wolność nie miała nic wspólnego z podobnymi wybrykami. Francya, żyjąca ze swej pracy, osłabiona tym nieładem, za jakąbądź cenę domagała się odpoczynku i pokoju.

Historya Francyi w roku 1848 podobną jest do dziejów Niemiec, Hiszpanii, Włoch, wszystkich krajów, gdzie wolność nie przeszła w obyczaje. Podczas gdy Anglia, Hollandya, Belgia, dumne ze swych urządzeń, przyglądały się bez bojaźni burzy, szalejącej dokoła nich, wszędzie na lądzie stałym ogłaszano zwierzchnictwo narodu i rozprawiano o niemożebnych konstytucyach, wszystko to dnia nie przetrwało. Zwycięztwa marcowe z roku 1848, jak je zowią w Niemczech, nikły równie prędko jak łatwo były odnoszone, nikt nie powstał na ich obronę. Wracano do punktu wyjścia, co więcej będąc niezadowolonym, że się jeszcze raz pomylono. Jednak nie wszystko było urojone w tych dążeniach do odrodzenia politycznego, i nie potrzeba było wielkiego doświadczenia, by przewidzieć, że po dziesięciu latach spokoju i zapomnienia, te same zagadnienia wyjdą na jaw i na nowo będą wzburzać umysły. Idee są nieśmiertelne i po porażkach wychodzą jeszcze czyściejszemi, do idei ulubionej, narody, podobnie jak pojedyńczy ludzie przywiązują się bardziej wskutek niepowodzenia, aniżeliby to miało miejsce w razie przeciwnym.

Do tegośmy doszli w całej Europie: gdy nowe pojawiają się życzenia, stare odżywają nadzieje. Nowa faza ruchu pojęć od lat siedmdziesięciu wiedzie nas ku przyszłości nieznanej. Należy teraz zbadać tę fazę.

II.

Doświadczenie drogo każe się okupywać, ale zastanawiający się nad jego naukami odnoszą korzyść. Nazajutrz po swym upadku, stronnictwa mogą wyobrażać sobie, że przy większej ostrożności, przy większej cokolwiek liczbie batalionów lub barykad, z łatwością odniosłyby zwycięztwo; są to złudzenia, którym się nie dają uwieść ludzie rozsądni. Począwszy od marca 1848 roku łatwo można było przewidzieć, że mylną obrano drogę, i że niepodobna odbudować rzeczypospolitej, zapożyczając od pierwszej rewolucyi urządzeń, które już nie żyły. Zarządzić głosowanie powszechne, wszędzie zaprowadzić wybory,ześrodkować władzę w zgromadzeniu — znaczyło to wrócić po prostu do tradycyi konstytuanty, znaczyło to raz jeszcze dać krajowi udział we władzy zwierzchniej, ale bynajmniej nie wolność. Tymczasem jeżeli sobie czego życzą ludy nowożytne, jeżeli brak im jakiego dobra, nadewszystko dziś, gdy zdobyli już sobie wolność cywilną, to zapewne brak im nie władzy, lecz wolności! Wskutek czego cierpią, na co żalą się na lądzie stałym, jeżeli nie na więzy krępujące przemysł, handel, myśl, sumienie? Oskarżają dziś nie formę rządu, lecz despotyzm bądź jednostki, bądź większości, oskarżają dziś centralizacyą, prawa zapobiegające, jednem słowem wszystko, co przeszkadza wolnemu i zupełnemu rozwojowi osobnika. Zadanie nie polega na wymyśleniu nowej konstytucyi, nadto było zawodów, ażeby módz jeszcze wierzyć, że szczęście narodu zależy od magicznych własności świstka papieru, zadanie polega na tem, aby od rządów takich, jakiemi są obecne, módz uzyskać wszystkie swobody, jakie tylko rząd dać może i powinien, dopełnić obowiązku względem państwa i względem jednostki, szanować i w razie potrzeby utwierdzić słuszne przywileje władzy, lecz żądać natomiast, aby administracya pilnowała swych granic i niewkraczała w zakres działalności obywatela

Nie należy sądzić, iż ważne to pytanie zaniepokaja tylko Francyą; jest ono na porządku dziennym w całej Europie, zajmują się nim zarówno w Anglii, jak w Niemczech, w Hiszpanii, jak we Włoszech; dla tego też zamierzam rozebrać to pytanie i ze stanowiska innych państw. Odkąd we Francyi zaczęto podnosić głosy w sprawie wolności, zawsze znajdują się ludzie zaniepokojeni tem i usiłujący stłumić te głosy. Zaraz też upatrują niecne zamiary, krzyczą na niesprawiedliwość, oskarżają stronnictwa, lecz daleko trudniej w równie rycerski sposób obejść się z ludźmi piszącymi w obcym języku, i dla innego kraju. Można powiedzieć, że się mylą, lecz trzeba ich wysłuchać. Nie żądamy niczego więcej: jeżeli błąd jest po naszej stronie, niech nam go wykażą i niech się postarają dowieść, że słuszność jest po ich stronie. (C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

IV. Śmierć Giełguda.

(Dokończenie).

Pokazanie się Moskali z tyłu zmusiło Rolanda posunąć się ku południowi do Nowego-miasta. Reszta wojsk została z Giełgudem i Chłapowskim. W tej chwili gdy Giełgud z wielu oficerami konno zbliżał się do nas, jeden z otaczających strzelił do Giełguda z pistoletu, następnie dawszy ostrogi koniowi i wyjąwszy szablę, popędził w stronę, dokąd podążył Roland. Wystrzał był tak dobrze wymierzony, że Giełgud upadł z konia martwy. Oficerowie byli zdumieni i w pierwszej chwili nie mogli nawet dostrzedz, że zabójcą był własny adjutant Giełguda, porucznik Skulski. Kapitan artyleryi jadący około Giełguda słyszał, że morderca przed strzałem zawołał: „szelmo, zdrajco giń“. Krwawa ta scena oburzyła obecnych, którzy niechcieli wierzyć, żeby Polak to zrobił. Lecz w ogóle nie żałowano Giełguda, mówiąc iż wart był tej kary, bo zdradził kraj, przyprowadziwszy armię do zguby. Zabitego ułożono w karecie jego. Po tej zemście okropnej wkrótce pokazali się Moskale ze strony Gorżd. Nie było żadnej wątpliwości, bo wystrzał z działa, skierowany na patrol polski, przekonał o zbliżeniu się wrogów. Wtedy to część wojsk idąca przyłączyć się do Rolanda wróciła nazad i na rozkaz Chłapowskiego broń złożyła. Następnie Polacy zebrali się i pod komendą majora Budenbroka, zaprowadzeni zostali na plac kwarantanny. Moskale zbliżyli się i wystrzelili dwa razy w tym kierunku. Patrol polski, zostawiony na ziemi litewskiej, rzucił broń i skierował się za innemi do kwarantany na polu pod Sztudtenem, na pół mili od granicy. Jest tu około 3 tys. ludzi po większej części z kawaleryi i artyleryi i 400 lekko rannych, przywiezionych na wozach. Oddział Chłapowskiego otoczył szwadron ułanów z landwery, kampania liniowej piechoty i kilkudziesiąt ludzi pogranicznej landwery. Doktor znajdujący się przy oddziale i generał Chłapowski upewniali, że w oddziale nie było ani jednego cholerycznego; wszyscy oficerowie potwierdzili toż samo. Że ludzie, którzy broń złożyli, są zdrowi, widać z ich oblicza. Konie są dobrze utrzymane i wojsko posiada dość fizycznych sił do boju, lecz porzuciła je odwaga, bo nie znaleźli w kraju oczekiwanej pomocy. Oddział Rolanda Moskale pędzą wzdłuż granicy; bez wątpienia wkrótce i ten generał będzie zmuszony wstąpić na ziemię naszą“.

Tak zginął nieszczęśliwy Giełgud, jeden z Napoleońskich pułkowników 1812 roku, bitny żołnierz, lecz nędzny dowódca, umiejący spełniać rozkazy, lecz nie mający zdolności obudzić cześci i zaufania w swoich podwładnych. Giełgud zginął jak zdrajca, lecz zdrajcą nie był. Są ludzie, co myślą inaczej, lecz im powiemy, żeby pomyśleli czego użyć potrzeba dla przekupienia gło-

wnodowodzącego, posiadającego zaszczyty, bogactwa, rozporządzającego życiem tylu ludzi, z którymi może zasłużyć na sławę w historyi, na wdzięczność ojczyzny!... myśl zdrady nie wytrzyma krytyki zdrowego rozsądku. Giełgud był tylko niezdolny i obojętny dla sprawy mu poruczonej i poniósł za to ciężką lecz zasłużoną karę.

W chwili gdy się to działo około Gorżd, kolumna Rolanda dążyła na południe. Dilenshausen, Szirman i Ofenberg pędzili za nią z tyłu i z lewego skrzydła, a Saken spieszył przeciąć im drogę odwrotu. Polacy odstępowali, bijąc się nieustannie z przednimi moskiewskimi oddziałami, lecz ze wzgardą odpowiedzieli na propozycyę złożenia broni przed nimi.

14. lipca Saken, chcąc zastąpić drogę Polakom, wyruszył pospiesznie do Nowego miasta, lecz przybył tam we dwie godziny po wyjściu z tamtąd Rolanda, odkrywszy drogę Polakom do Jurborga. Korzystając z tego polski generał pospiesznym marszem przeszedł do Deguc. Obaczywszy omyłkę, Saken kłusem poprowadził oddział swój do Żwingi, żeby zamknąć drogę do Jurborga. Wtedy to otoczeni ze wszystkich stron przez Moskali, bijąc się nieustannie, Polacy utracili wszelką nadzieję przebić się do ojczyzny. Demoralizacya wojska doszła do najwyższego stopnia. Żołnierze zmęczeni głodem, bezsennością, nieustannym marszem zaczęli grabić i pustoszyć miejsca, przez które przechodzili i oddzielnemi partyami, przeklinając los swój i swych dowódców, przechodzili do Prus. Na radzie wojennej zebranej w Degucach podpisano akt o niemożności utrzymać się dłużej wobec przeważnych sił nieprzyjacielskich i postanowiono było dnia następnego, 15. lipca, przejść granicę i złożyć broń w Prusach, oddawszy Prusakom wziętych w niewolę moskiewskich oficerów.

Oddział Rolanda przeszedł granicę i skierował się do Pakiemun dla odbycia tam dwudziestodniowej kwarantany. W oddziale Rolanda było 361 oficerów i 3904 żołnierzy. Tak się skończyła nieszczęśliwa kampania litewska.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy.)

Z czasów bytności w Kairo cesarzowej Eugenii wiele pozostało pamiętnych odmian; dla niej to np. kedyw wybudował ów doskonały gościniec, prowadzący pod same piramidy w Gizech tak, że w półtory godziny można się wygodnie dostać do nich powozem. Na przestrzeni 10ciu morgowej rozsiadła się w trójkąt ta olbrzymia masa kamieni, sięgająca przeszło 400 stóp wysokości. Już na pół mili od tego miejsca na wyścigi gonią się Araby, ofiarując swe barki do wyjścia na szczyt piramidy Cheopsa. Nie odważyłam się na skoki od 3 do 4 stóp wynoszące, zostawiając to męskiemu gronu naszych towarzyszów podróży, którzy też, udając się na szczyt piramid złożyli w żeńską opiekę pularesy i zegarki, co jest koniecznem, by ujść napaści i groźb chciwych Arabów, lubiących pozostawić gościa wśród niebezpiecznej drogi, dopóki się nie opłaci, czego łatwo uniknąć, pozostawiając pularesy na dole. W gronie kilkunastu panów, jedna z towarzyszek naszej ekskursyi, młodziutka i śliczna Angielka, jak łania zeskakiwała po kamieniach, za co też przyjęto ją z powrotem gromkiem „hurra!“

Tyle razy już opisywano piramidy, że daremną byłoby pokusą chcieć o nich coś nowego powiedzieć. Wszelako, ciekawość zawiodła nas do wnętrza jednego z tych olbrzymich grobowców, które opłaciliśmy sowitym potem i znużeniem, gdyż tysiąc blisko kroków szliśmy, a raczej raczkowali po śliskich i spadzistych kamieniach! Duszno tu i ciemno w tych komorach i korytarzach, obecnie pustych zupełnie, gdyż wszystkie sarkofagi, mumie i inne pamiątki królewskie znalezione w tych piramidach, znajdują się w Kairo w muzeum, bardzo starannie urządzonem przez Francuza Augusta Mariette. W muzeum tem nabiera się dopiero dokładnego wyobrażenia o dawnem życiu domowem Egipcyan, o ich wyobrażeniach religijnych, bogactwach i cywilizacyi... Między zebranemi tu pamiątkami celują nadewszystko klejnoty królowej Eahhotep, których kunsztowna robota i dziś jeszcze w zdumienie wprawia.

Nabyłam od Arabów kilka zapleśniałych bożków i starych monet egipskich, lecz niestety nie mają to być prawdziwe pamiątki ich dziejowej przeszłości, tylko kopie fabryk angielskich, które aż tu, pod piramidy, przyszły przedrzeźniać się prawdziwym bogom starych Egipcyan. Ha, cóż robić! zarobek przedewszystkiem, byle handel szedł!...

W rozmaitych odległościach spoczywają inne mniejsze piramidy w zupełnej ruinie. Nie wszystkie też służyły za grobowce królom i znakomitościom ówczesnym, o niektórych kronika wspomina, że zastępowały spichlerze, przez biblijnego Józefa w owych siedmiu latach głodu zbudowane...

O kilkaset kroków dalej, brnąc w głębokim i skwarnym piasku staje się przed obliczem olbrzymiem, niby ludzkiej głowy, zwanej Sfinxem; cała twarz tej zagadkowej budowy z rodzajem diademu na głowie, na tle formującem skrzydła, z jednolitej skały wykuta, stanęła na cześć bóstwa słońca; rysy znacznie uszkodzone, a nadewszystko nos, który mameluki obrali sobie za cel w ćwiczeniach wojennych... Grono nasze zmęczone kilkogodzinną wędrówką, spoczęło na rozesłanym dywanie i i zabrało się do pokrzepienia zwątlonych sił. Mój przewodnik Abdalah rozpostarł nademną parasol, osłaniając mię przed żarzącymi promieniami słońca. Długo nie mogłam przenieść na sobie, że kiedy ja spoczywam w miłym cieniu, biedny Arabisko tymczasem wśród skwarnego południa literalnie smaliło się w ogniu roztopionych promieni. Wynagradzałam mu jak mogłam jego uczynność to dobrem słowem, to cygaretkami, które z wielkim gustem wypalał, wina nie przyjąwszy, gdyż Koran wzbrania Arabom używania gorących napojów. Pomimo ostrzeżeń, by się z ludem tutejszym nie poufalić, rozmawialiśmy i żartowali wiele z naszymi przewodnikami, doznawszy w zamian od nich tyle dowodów sympatyi i życzliwości, że z prawdziwem uznaniem przychodzi mi o nich wspominać.

Nazajutrz przedsięwzieliśmy tylko małą wycieczkę do grobów Kalifów, pół mili za miastem położonych. Od świtu stały już przygotowane w dziedzińcu osły, które zbudziły nas swoim donosłym rykiem. Jeden z nich, nazwiskiem „Bismark“, tak zaszczytnie był znany w całym Kairo i tak przez turystów poszukiwanym, że inni właściciele tych kłapouchych rumaków, dla większego zarobku na gwałt przekształcali swych osłów na Bismarków. To też na każdym kroku w ulicach dolatywały cię nawoływania przewodników: „Good Bismark! very good Bismark!“ (oto Bismark! oto prawdziwy Bismark).

Posiliwszy się obficie — i dla zmiennej temperatury tego klimatu, która z wrzącego ukropu spada wieczorami do styczniowego chłodu, zaopatrzywszy się w ciepłe futerka, z dwoma jeszcze towarzyszami podróży i przewodnikiem *Solimanem*, wyruszyliśmy w drogę. Przejeżdżając około Bazarów, trudno było nie zwrócić na nich uwagi. Nie są to jak u nas pojedyńcze sklepy, lecz każda ulica mieści w sobie osobny jeden produkt np. jedna perfumy, druga złotnicze, trzecia kotlarskie wyroby, dalej znów materye jedwabne, korzenie, owoce, broń, siodła i tp., a zewsząd jak na lwowskiej Zarwanicy, szarpią cię, zaczepiają i zapraszają do kupna. Najmniej radzą kupować u Greków, gdyż ci zwykle oszukują z całą bezczelnością. Turcy, obok rzetelności są jeszcze nader gościnni; w każdym sklepie, nim weźmiesz się do przeglądania towarów, częstują cię kawą i nargilami, a tem sobie wielu kupujących jednają. Sposób ich sprzedawania jest szczególniejszego rodzaju. Na zachwalenie bowiem towaru tyle używają mimiki i giestów, że zaprawdę, mógłby im tego niejeden dobry aktor pozazdrościć.

Wśród gwaru i powszechnej krętaniny, zwolna i z trudnością przesuwaliśmy się na naszych potulnych osiołkach, a przejechawszy bramę Bab-é-Nasz, jedną z najstarszych w Kairo, przez którą karawany z pielgrzymką do Mekki' zwykle się udają, ujrzeliśmy posępne wieżyce grobów Kalifów. Są to poczerniałe mury, na pół rozpadające się ze starości, nad którymi spoczywają strudzone wiekiem kopuły i kopułki, przypominające swym kształtem zawoje tureckie z półksiężycem u szczytu. Ze wszystkich jednak grób Mehmeda Ali i mieszczący się po przeciwnej stronie grobowiec jego rodziny najgodniejsze są uwagi. Obadwa przystrojone bogato dywanami, otwierają się *za opłatą* nawet dla giaurów; pod tymi warunkami i nam pozwolono je zwiedzić, ściągnąwszy nam pierwej z nóg obuwie, przez poszanowanie dla miejsca świętego. Boso tedy i nie bez pewnego wzruszenia, szliśmy złożyć pokłon prochom „świętym turreckim“. Ekskursya ta jednak nadspodziewanie mało nam czasu zabrała. To też przypomniawszy sobie z opisów, że w pobliżu ztąd znajduje się las skamieniały, proponuję naszym panom, by korzystając ze sposobności, takowy zobaczyć. Nie dowierzano moim siłom fizycznym; delikatnie zaczęto mi przedstawiać upał, odległość, utrudzającą drogę wśród piaszczystej puszczy, ale szczęśliwie udało mi się przełamać te ich obawy i dopiąć celu wycieczki rychlej od naszych panów, którzy z umęczenia daleko za mną w tyle pozostali.

W tym to kierunku stoi właśnie owa nieużyteczna kolej, prowadząca przez puszczę do Suez, kosztująca miliony, a zaniechana dla zamieci piaskowych. Daremnie leżące szyny oczekują nadejścia pociągu... piaski do nieprzebycia nie pozwalają korzystać z ich usług — i coraz głębiej grzebią je w gorącem swem łonie.

Z trudnością i wytężeniem wdrapywaliśmy się po nasypach i nieraz trzeba było zsiąść z poczciwego osiołka, aby w tył się z nim razem nie zsunąć. W pobliżu nas na nagich wzgórzach, gęsto rozsiane wiatraki igrały swobodnemi skrzydły z groźnym Samumem a dalej, snuły się roje robotników zatrudnionych wznoszeniem nowych budowli. Zdumiewającą jest zaprawdę siła każdego Araba, który na szerokich swych barkach dźwiga

nieraz kilkocentnarowe kamienie i na własnych ramionach do fabryki dostarcza.

Pomału traci się ślady ludzkie... Gdzieniegdzie napotykasz lekkie, w pół zawiane kontury kopyt wielbłądzich i białych końskich szkieletów. Tu już ustaje wszelka wegetacya, tylko niskie krzaczki oschłego ciernia wyzierają z piasku, zresztą żadnej trawki, ani rośliny. Cisza tak wielka że nawet muszka nie zabrzęczy... skwar przytłacza ci oddech, jakiś lęk cię opanowywa, lecz ciekawość czy fatum gna cię w głąb puszczy, na której nic, nic nie dojrzysz, prócz dzikiego chyba Beduina i szarzejących w oddali grobowców Kalifów.

W dobrą godzinę drogi napotyka się dopiero małe odłamki palm skamieniałych, a po trzech godzinnem kłusowaniu ujrzeliśmy kilkołokciowe kłody drzew w nieładzie powalonych na piasku. Do niektórych, pędzone wiatrem kamyczki, tak silnie przytknęły, osadzając się na smolnych drzewa sokach, że chyba ręka Herkulesowa zdołałaby je od nich oderwać. Rozmaitość kolorów tych kamyczków tworzy fantastyczną, wypukłą mozaikę na kapryśnych kształtach petryfikacyi.

Trzeba się było zatrzymać. Nie czując dotąd umęczenia, chciałam zeskoczyć z mego rumaka, tymczasem odrazu usiadłam na ziemi... Nogi bowiem wypowiedziały mi posłuszeństwo. Zabrawszy tedy kilka skamieniałości, których dziś używam jako presse-papier, zawróciliśmy się ku domowi. Nagle, rozproszone dotąd chmurki poczęły się zbierać w zbitą masę i w jednej chwili ulewa przemoczyła nas do nitki; wśród tej nawalnicy w połowie drogi zboczyliśmy do źródła Mojżeszowego.

Głębokim jarem, po olbrzymich oślizłych od deszczu głazach i kamieniach stąpały osiołki nasze z zadziwiającą ostrożnością, którą jeszcze pobudzał przewodnik, powtarzając często wyraz „hat" (uważaj), na co inteligentne zwierzę najwyraźniej podwajało przezorność. W kończynie jaru widać rozpadlinę, a w głębiach jej połyskującą wodę, dziś, jak mówią, gorzką, i w tem to miejscu według podania spoczywał lud izraelski w wędrówce swojej po puszczy, tu chwytał przepiórki i zbierał mannę. Dziwne wrażenie sprawia w tej dziczy jedyne drzewo figowe, co samotne przystraja swą zielenią nagie sterczące skały. Soliman znużony pieszą wędrówką, którą na bosaka odbywał, rozłożył się wygodnie i począł zajadać placek kukurudziany, podobny do naszych podpłomyków, którym i mnie gościnnie poczęstował.

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka Wenecka.

(*Ciąg dalszy.*)

Gdy spojrzymy na tę czarowną oświeconą postać, zrozumiemy od razu dla czego Tycyan złote tła zarzucił. Karnacya na tle złotem przypomina emalię, nie odstaje należycie i wydaje się płaską. Karnacya na tle ciemnozielonego krajobrazu i takiejże sofy występuje zupełnie i żywotnie, ściąga na siebie główną uwagę i na drugi plan usuwa czarowne ubarwienie głębi, która choć mniej od pozłoty oko bawi, jest równie miłą, gdyż oko wzmacnia i uzdrawia.

Róża jest punktem, w którym najsilniej występuje kontrast barwy. Piesek biały służy do uwydatnienia ciemności otoczenia. Między różą a pieskiem leży bogini nie tak jasna jak piesek a nie tak jaskrawa jak róża. Na niej tedy spocznie stale oko widza. Nazwaliśmy Wenerę boginią. Jest ona jednak na obrazie przedewszystkiem piękną ziemianką. Ma lat dwadzieścia przeszło, twarz owalną, kibić smukłą i zdrową, kształty do ideału zbliżone i wiosennie zdrowe, choć nieco otyłe. Odpoczywa na pół uspiona i świadoma swej piękności. Barwa jej ciała arcydziełem. Cała jest bogatym bursztynem jednostajnie lśniącym, od którego tylko czarny włos i błękitne odbija oko. Z po pod bursztynu wygląda czasem przygłuszona a czasem wyraźna barwa różana. Barwa ta nadaje złocistemu bursztynowi, co ją pokrył, pozory przezroczystości szklistej i nieziemskiej — ona to wraz ze szlachetnym rysunkiem przenosi niewiastę nagą w krainę skromnego a szlachetnego ideału, w której ciało jest z promieni słońca podszytych rumieńcami zorzy. Rumieńce zlały się z bursztynem karnacyi w wyższą przejrzystą jedność. Ale i nie na tem koniec uroczej rozmaitości kolorytu. Wielkie cienia zakrywają wklęsłe części ciała i rozlewają się stopniowo ciemnobronzową falą przepływającą miękką gammą w lekką czerwienią okraszony bursztyn. Na piersi przeciwnie i czole występują lśniące masy prawie białego światła.

Tyle o Wenerze florentyńskiej uspionej. Drezdeńska obudzona jest bardziej boginią, bardziej idealną, i bardziej białą. Sparła się na lewicy i siedzi prawie na łożu, na którem białe prześcieradło od niechcenia zarzucone. Cała oświecona pełnem światłem ma ledwo kilka lekkich cieniów, kilka cieniów niedostrzeżonych na sobie. Na twarzy jej i w oku błękitnem maluje się nieznikome szczęście greckich bogiń i iście Praksytelesową niebiankę mamy przed sobą, równie żywą, ułudną i cudowną. Kupidynek wzlata nad jej głową, i wianek róż ma kłaść na skroń nieśmiertelnej matki.

I tu tło ciemno zielone, ale tu nie chodzi o grę świateł, chodzi o to, by w pełnem oświeceniu pokazać jak biała barwa w różową przechodzi. Więc prześcieradło białe, bogini zaledwo z lekka bursztynem zarumieniona, na twarz jej występuje cudny rumieniec, podobny do lekkiego światełka zorzy, Kupidynek już cały opalony, bursztynowy, różowawy, a w jego ręku różowe szczerze kwiaty. Oto dla oka, oto dla rozumu cudne widowisko, na którem poznać można jak się przemienia w śnieżystą białość najjaskrawsza barwa, na cudnie naśladowanem, zdrowem, idealnem ciele ludzkiem.

Kto chce malować nagie niewiasty, ten niech się wpatrzy w owe nagie Wenery. Kto chce malować nagiego męża, ten niech się uczy na świętym Janie w weneckiej akademii.

Tło obrazu, o którym teraz mówić będziemy, jest to także ciemnozielony krajobraz, z ciemno błękitnem i ciemno szarem niebem. W jednym kącie obrazu legł w półcieniu baranek boży, który sam jeden tu białą jakkolwiek przyćmioną barwą świeci. Święty Jan jest mężem w pełni wieku. Jest prawie całkiem nagi i tylko ciemna skóra wielbłądzia zakrywa niektóre części ciała. Ciało potężne i muskularne, włos i broda gęste, a czarne lice spalone natchnieniem, czarne oko ciska gromy, lewica wstrzymuje szatę, a prawica podniesiona napomina rysy i pełne świętej grozy, i niezużytej mocy — snać to straszny zapaśnik Boży.

Bursztyn tego ciała ciemny, a cienie u granic wielkich muszkułów czarne prawie — rumieńców tu nie ma i same nawet usta mają barwę spalonego bursztynu. Barwy tu na poważny i kościelny ton nastrojone. Zbytek światła wywołuje to samo wrażenie co w muzyce ton wysoki. Światło przyćmione i wybitne, jaskrawe, a niebiałe barwy wywołują przeciwnie wrażenia pokrewne wrażeniom wywołanym przez tony niskie. Światło nastraja duszę godowo, cień nastraja ją modlitewnie, a czyni to podobno dla tego, że mniej jaskrawo podrażnia zmysły, i że przeto nie odrywa tak od wewnętrznych rozpamiętywań. Ciemność i szarość wyzywają wyobraźnię, nie nasycając jej; podobnie jak pedały — i bywają cechą niedoskonałych, fantastycznych utworów. Pełnia białością nierozpuszczonych barw wywiera wrażenie silne, lecz uroczyste i kościelne, dające się pogodzić z klasycznem pięknem. Wreszcie podobnie jak muzyka kościelna nie obchodzi się bez pedałowego kontrapunktu — tak i uroczysty koloryt nie umie się obejść bez zupełnego cienia, wobec którego intensywniejsze nawet barwy wydają się światłem.

Wedle tych tu wspomnianych praw wymalowany święty Jan zlewa się w jednę niską a głęboką, a więc kościelną gammę z ciemnościami głębi. Zacienione części ciała łączą się prawie zupełnie z ciemną głębią, odgraniczone tylko jakby półtonem barwy. Na ciele samem walczy energicznie barwne światło z głębokim cieniem i wszędzie widna różnojednia barwy i oświecenia.

W ciele białem Wenery, wykonanem na wyższą, że tak powiem, nutę, tylko części zacienione mają właściwą barwę, a światła są białe. Przeciwnie w kościelnym świętym Janie barwnemi są światła, a cienie czarne prawie. W obydwu razach pokonana największa trudność malarstwa, bo w obydwu odmalowano nagie ciała w sposób cudowny. Na tych to przykładach poznaliśmy już właściwą podstawę i założenie kunsztu Tycyanowskiego. Będziemy tedy mogli przystąpić do portretów i Madon, by dojść do wielkich kompozycyi religijnych, a znając już mistrza, prędzej zrozumiemy jego dzieła.

Do portretów męskich przystąpimy bliżej jeszcze i przypatrzymy się drobnym szczegółom, gdyż tu wyobraźnia mistrza małą odgrywała rolę, a jego pęzel tem ciekawszy. Widzimy na nich zwykle sędziwych już senatorów i dożów Wenecyi, przystrojonych w jaskrawe szaty podobne do ornatów, i w długie białe brody. Mają rysy ostre, twarze chude, oczy przenikliwe i przywykli dawać rozkazy i myśleć o sprawach państwa. Ludzie ci nie mieli może w życiu tak energicznych wyrazów jak te, które im nadał Tycyan, ale byli to ludzie niepospolici, przyzwyczajeni do niepospolitych rzeczy. Malował ich mistrz na gammę świecką, choć niezbyt świetlaną, a zdradzał przytem sposób, w którym zwykł był działać. Podmalowanie jest tu nadzwyczaj blade, białe, tak cienkie, że nie zakrywa szwów kanwy. Barwa zaś nakłada się delikatnie w miejscach zacienionych, tak że miejsca zacienione są dość grubą wybitną barwą namalowane, a miejsca jasne barwy pozbawione. Gdzie Tycyan malował za pomocą poważniejszej gammy, podmalowywał postacie cieniutkim pokostem właściwej ich barwy tak, że barwa ta wyglądała w miejscach jasnych, zacieniona w innych miejscach nakładanymi ciemnymi tonami. Metoda ta Tycyana była podobną do metody dziś używanej w obrazach malowanych akwarellą, a została

prawie zupełnie zarzuconą w olejnem malarstwie, począwszy od drugiej połowy siedmnastego wieku, od której to się datuje upadek sztuki.

Niech nam czytelnik ten szczegół techniczny daruje, i niech przejdzie do wspanialszych i sławniejszych portretów żeńskich, jeźli portretami nazwać można utwory, w których wyobraźnia mistrza tak się lubowała i w których tak wielką odgrywała rolę. Portrety te są to świeckie ideały niewieście, często przyobleczone w mitologiczne szaty, albo nawet w mitologiczną nagość. Wszak takimi portretami są sameż Wenery malarza, jeźli mamy podaniu wierzyć, takim portretem owa niewiasta różana i hoża, co się na poły tylko w Belwederze wiedeńskiem futrem okryła, takim portretem taż obok owa rozkoszna dama, co usta na poły rozwarła w zmysłowej uciesze, i na znak leżąc, raduje się złotym deszczem, co nie deszczem dukatów lśniących, jedno dziwnie przemienionym Zewsem. Od niewiasty tej odbija murzyn, co trzyma w ręku wspaniały półmisek złoty, i za pomocą półmiska dukaty łakomie łowi; w Neapolu pokazują drugą Danaę także niby Tycyanową, ale o wiele i brzydszą i gorszą.

I nie Wenerę, i nie Danaę tylko wspomnieć trzeba. Mitologicznym jeszcze portretem Antiope w Monachium, której głowę tylko i szyję widać, a którą tak namiętnie brzydki Satyr całuje. Mitologicznym zawsze, ale już nie nagim utworem Flora w Uffici we Florencyi, portretami już niby piękności weneckie w weneckich strojach, w Palazzo Sciara w Rzymie, i w Palazzo Pitti we Florencyi, ale królem portretów niewieścich Tycyana *„la belle“* w Luwrze, w Paryżu, w *salon Carré*. Przy niej się zatrzymamy, jej to damy poklask winny.

Kobieta piękna jak wszystkie kobiety, które Tycyan i współcześni jemu Wenecyanie tworzyli, kobieta o zupełnie idealnych greckich rysach, szerokiem cudnem gardle, i cudniejszem łonie, o płowych, bogatych rozpuszczonych włosach, czesze się przed tobą. Ma na sobie wycięty czarny aksamitny stanik z lekka z przodu rozpięty, z pod którego biała koszula wygląda, i patrzy się do zwierciadła, które mężczyzna jakiś za nią trzyma. Mężczyzna i zwierciadło zatopieni w półcieniu, i nikt na nich nie patrzy, nikt na nich nie zważa, szata czarna, albo prawie czarna, bo są mniej jakieś zielone połyski, również na siebie uwagi nie zwraca, a gdy staniesz przed obrazem, widzisz tylko cudną kobietę, co na to by się czesać, głowę tak wygięła, że widać szyję i gardło — miękkie, białe, lśniące, pulchne, rozkoszne, w których cudowne drga życie, przyciągające, urocze, cudowną stworzone ręką mistrza. I tu barwa biała prawie, z lekka rumieńcem i bursztynem kraszona lśni z wenecka, ale ona się tu zrosła z życiem i z pięknością idealną a bezmyślną i próżniaczą — co się tylko sobą cieszy. Życie to bezmyślne, prawie jak życie źwierzęce, a rozkoszne jak życie bogów olimpijskich. Gdy patrzysz na tę piękną, choć się twój rozum cieszy oglądaniem ideału, cieszy się jeszcze więcej oko białością ciała, i dziwnie kuszącym widokiem owego niezrównanego gardła. Widać tu prawie tylko białą barwę, ale nigdy barwa nie wystąpiła bardziej godowo.

Taka sama jeszcze barwa lśni w Madonach, których jest wiele w Luwrze i w Belwederze wiedeńskim. Są to też raczej świeckie jak religijne obrazy, i Madony nie wiele się różnią od innych piękności Tycyana. Przyobleczone w klasyczne, a zazwyczaj różowe i niebieskie draperye, trwają w rozkosznem szczęściu i bezmyślnej błogości. Najpiękniejszą jest Madona między świętymi w Belwederze w Wiedniu. Choć włosy piękną draperyą zakryła, wygląda cudnie z wenecka po świecku. Przeźroczyste weneckie karnacye mienią się na twarzy, a głowa z lekka podniesiona, odkrywa szyję i gardło, podobne do szyi i gardła pięknej Wenecyanki w Luwrze. Rozkoszne nagie dzieciątko stoi w ręku matki, która o dziecko to nie dba, zajęta tylko własną pięknością. Dwu świętych stanęło przy boku w godowych szatach i jaskrawem świetle z męską, drgającą od życia, i pełną barwy karnacyą. Najpiękniejszym z nich Turek siwy już a z lekka zadumany, na którego czoło i turban wielki płacht światła padł.

I w „Przenajświętszej rodzinie“ tuż obok, nie wiele dba z profilu widziana Madonna o cudne swe dziecię, jest to tylko Wenecyanka piękna nieskończenie, przed którą druga, podobna a młodsza Wenecyanka klęczy — to święta Katarzyna, a może raczej jakaś pogańska bogini, Hebe albo Vesta u stóp cudownej Junony.

W rozkosznych tych obrazach przeważają barwa żółta, czerwona i pomarańczowa. Są to kolory, które już z natury swojej dają weselszy nastrój obrazom i które niejako najwięcej światłem przesiąkły. Te barwy nastrojone na godową nutę, przez to że punkta jasne w nich są białemi zupełnie, nie są to tedy barwy zbyt intensywne, a wszystkie w jednej mierze płynne, nie są światlejszemi ani ciemniejszemi od samychże bursztynowych karnacyi. W ten sposób każda przenajświętsza rodzina nastrojona na jeden zgodny ton, w którym żadna barwa nie jest ani jaskrawszą ani głuchszą, w akord, pozbawiony dyssonansów.

Podobnie świetlany i świecki charakter posiada jeszcze jeden bardzo sławny obraz Tycyana o treści niby religijnej. Mamy na myśli przechowywane w akademii sztuk pięknych weneckiej Ofiarowanie przenajświętszej Panny. Jest to obraz ogromnych rozmiarów, na którym widz podziwia błękitne niebo, i obszerny płaski krajobraz, zabudowany marmurowymi pałacami weneckimi, i oświecony włoskiem słońcem. Nigdzie w Wenecyi nawet nie widać tak pięknych i strojnych gmachów, jak te tu odmalowane pałace.

Na pierwszym planie widać z profilu jakiś kościół wenecki, do którego wiodą również z profilu widziane białe marmurowe schody. U szczytu schodów na estradzie stanął arcykapłan żydowski z roztwartemi ramionami, a za nim widać kapucyna. Po schodach wychodzi do kapłana dzieweczka ośmioletnia z plecionymi warkoczami, a stara przekupka siadła pod schodami przy jakimś starożytnym torsie.

To prawa strona obrazu. Po lewej stronie stanął orszak nobilich weneckich w czarnych długich togach, i pięknie wystrojonych weneckich dam. Postacie te wszystkie małe, lecz godne i z wenecka piękne, przypatrują się z zajęciem dzieweczce, i widocznie coś o niej rozprawiają.

I o cóż chodziło mistrzowi w tym obrazie? Nie o przedmiot religijny, bo Matka boska malutką część całości zajmuje. Nie o rozkoszne karnacye, bo te znikają dla małych rozmiarów postaci w porównaniu do ogromu kompozycyi, i nie o dramatyczne wyrazy, bo tych tu nie ma. Nie chodziło o myśl, której brak, ani o harmonię dość niezręcznie ułożonych linii. Nawet błąd rysunku nie zraził mistrza malującego jakąś istotę pośród orszaku nobilich, co ni dzieckiem ni kobietą, za duża na dziecko, a za krępa na dorosłą osobę. I o cóż tedy pytamy chodziło mistrzowi? Odpowiemy, o ucztę dla oczu. Taką to ucztę gotował, malując swoje piękności i swoje Madonny, taką to ucztę i na tem rozłożył płótnie, malując dziwnie błękitne niebo, i cudowne pałace lśniące marmurami, pod którymi się roi tłum pięknych, strojnych i wykwintnych ludzi. Chodziło o krajobraz idealny taki, o jakim pewno marzył Sansovino.

I dziś już w kopiach tylko przechowane męczeństwo świętego Piotra, które spłonęło wraz z kaplicą różańcową w kościele San Giovani e Paolo w Wenecyi, było także przedewszystkiem krajobrazem tylko, lubo krajobrazem zupełnie innego rodzaju. Religijnymi za to obrazami, i prawdziwemi w tym rodzaju arcydziełami są Chrystus z groszem w refektarzu w Lorecie, Chrystus z jawnogrzesznicą w *casa Buonarotti* we Florencyi i nadewszystko sławna na świat cały *assuntá* w akademii sztuk pięknych w Wenecyi, w owym najświętszym przybytku barwy.

(C. d. n.)

WSPOMNIENIA STARYCH ŻOŁNIERZY

spisał

EZECHIEL BERZEWICZY.

I.

Bitwa pod Uchaniami

(z opowiadania Seweryna Ostaszewskiego).

(Ciąg dalszy.)

Pułkownik nasz troskliwy o swoją garstkę przejeżdżał się po obozie, — oceniał doniosłość bitwy i rozsyłał na wsze strony rozkazy, stosowne do potrzeb. Nie zapomniał on o pułku kozaków za Grabowcem obozujących i o dywizyi huzarów, którzy dalej stali. Naprzeciwko huzarów miał szwadron Przeborowskiego w życie zostawiony, ale przeciwko kozakom nie mógł jeszcze swoich dwóch szwadronów użyć, bo te były dotąd bitwą z dragonami zaangażowane.

Takiemi myślami zapewne zajęty, po zabiciu owego kozaka przezemnie, który prawdopodobnie był wysłany od pułku swego, kazał mi Różycki wziąć z sobą kilku tęgich chłopców z nabitymi pistoletami, i postępować cichutko za nim. Wybrałem jeszcze czterech na dzielnych koniach, więc pięciu nas prowadził Różycki, jak się później pokazało do odparcia całego pułku kozaków w Grabowcu, którędy oni przechodzić musieli. W Grabowcu rozstawił nas w poprzek ulicy, mówiąc po cichu: „Jak będziemy atakować, razem dać ognia, i śmiało uderzyć.“ Dnieć już zaczynało, ale mgła poranna pokrywała ziemię, tak, że jeszcze ciemno było w ulicach.

Nie długo czekaliśmy, bo w parę minut może pułk kozaków maszerował ulicą prosto na nas, i w niewielkiem oddaleniu usłyszeliśmy komendę ich pułkownika: *„Czetwiertoj uralskij połk na pierod! marsz!“* — a w tej chwili, gdy tamta komenda przebrzmiała, nasz pułkownik zakomenderował: „Pułk ułanów, naprzód! dyrekcya na prawo! Marsz! Marsz! — a po cichu dodał — „pal!“

Puszczając koniom cugle, strzeliliśmy razem, ale nie było za kim pędzić, bo z odgłosem strzałów, usłyszeliśmy tylko łomot płotów, które kozackie konie uciekając bezładnie łamały; ulica bowiem była wązką, i ledwie szóstkami porządnie

maszerujące wojsko mieścić mogła. A tak pułk kozaków zamiast atakować, uciekł haniebnie tam zkąd przyszedł.

Po odpędzeniu kozaków, polecił pułkownik dwóm zostać, i obserwować ich, a sam z pozostałymi trzema, między którymi i ja byłem, galopem poleciał na pobojowisko. Kazał na prędce zbierać się, zabierać zdobyte konie, broń i jeńców, i stawać do szeregów. Rannemu pułkownikowi Bogdanow, którego pod moją straż oddał, polecił wezwać natychmiast wszystkich swoich ludzi do siebie, żeby jako jeńcy razem zabrani zostali, inaczej w rozsypce zginąć by im przyszło może.

Przy pułkowniku Bogdanowie stał podoficer od dragonów; temu on polecił, ażeby zbierał swoich ludzi. Na gromką komendę podoficera: *„Sbirajsia wo front!“* rozsypani zdrowi lub lekko ranni dragoni, z różnych ukryć schodzili się i frontem stawali przed Bogdanowem, który zapytał swego podoficera: *Szczytaj bratiee! skolko ludiej ostałoś?*

Podoficer przechodząc przez sformowany szereg i licząc, powtarzał wciąż: *„Swod,“* a żołnierz, na którego to słowo *„Swod“* wypadło, podnosił rękę; i dalej *„Swed,“* a w końcu po obliczeniu, przyszedł do pułkownika, wyprostowawszy się jak struna i salutując, powiedział: *„136 ludiej, wasze wysoko błahorodje!“*

Pułkownikowi Bogdanow krew płynęła z rany w udzie. Ja czekając dalszych rozkazów, obwiązywałem mu sam ranę szmatą umaczaną w wodzie, litując się nad nim. Podczas tego mego zajęcia, widzę zdala prowadzonych ośmiu oficerów moskiewskich, a opodal za nimi, pamiętam jak dziś, jechał Szaszkiewicz, adjutant nasz, i obok niego szedł dziewiąty oficer od dragonów, i kiedy powolnym krokiem przesuwają się przez plac bitwy, gdzie mnóstwo szabel leżało na ziemi obok swych właścicieli poległych, oficer ten „Daszkow“ schyla się nieznacznie, chwyta pałasz z ziemi, podnosi, i kiedy go w głowę ciąć zamierza, Szaszkiewicz ten ruch zdawało się spostrzega, ale dość późno, aby w sekundzie z koniem odskoczyć, klacz tylko raptem wspina się, a Daszkow zamiast w głowę, tnie go wzdłuż uda aż do kości. *) Daszkow ginie zaraz na miejscu, a wiara nasza widząc tę scenę, oburzona zdradą, leci rozwścieklona na prowadzonych ośmiu oficerów i morduje ich w jednej chwili; potem zwracają się ku nam, aby i z pułkownikiem Bogdanow tak postąpić. Nieborak, patrząc na poprzednią scenę, był pewny, że i jego ostatnia godzina życia wybiła i odzywa się do mnie: *„Pamiłujtie! ja wasz plenny; sudba wojenna odnaka; ja was mogu zaszczytit w słuczaju na was takowo nieszczastia.“* — Zaspakajam go, że mu włos z głowy nie spadnie. Wyjeżdżam przeciw swoim, którzy w istocie biegli z zamiarem zabicia go, i krzyczę: „Mam rozkaz dowódzcy, abym pułkownika do Zamościa zawiózł. Mnie on oddany, i ja mam to polecenie pod odpowiedzialnością wykonać. Nie pozwolę więc mu najmniejszej krzywdy zrobić! Ustąpcie! a jeżeliby to było niedostateczne, zabiję pierwszego, który się zbliży tylko!“ Taka argumentacya podziałała na nich, dali pokój, a w tej chwili komenda „do szeregu“ odwołała ich na swoje miejsca.

Pułkownik Różycki nadjechał, pochwalił mię za to, i kazał za frontem prowadzić jeńców z rannym pułkownikiem.

*) Z boku patrząc, tak mi się przedstawiło; tymczasem klacz, nie pod naciskiem jeźdźca, tylko trafiona kulą skoczyła w tej chwili, kiedy Daszkow cięcie na głowę prowadził.

Bogdanow miał swój furgon, skórą doskonale na jucht wyprawioną pokryty, trzema dzielnemi końmi zaprzężony, naładowany rozmaitemi trunkami i wiktuałami. Wiktuały zostawił Różycki Bogdanowi do użytku, a furgon z końmi wziął później, jako zdobycz na własność swoją. Na tym furgonie kazałem posłanie przyrządzić i umieściłem na nim rannego Bogdanowa i jechałem tuż przy nim; przez wdzięczność za ocalenie, pyta mię w drodze: *„Nieizwoliliby wy charoszawo rumu napit sia?“* — Charaszo, odpowiadam. — Kazał więc żołnierzowi go dostać; a był to doskonały rum od Rauszera z Berdyczowa! Zmęczony i głodny, pociągnąłem za jednym razem przynajmniej trzecią część butelki. Pokrzepiłem się więc nieco, bo dał mi jeszcze sera szwajcarskiego i bułki; a po wygłodzeniu się, tak mi to smakowało, że i panującym niezazdrościłem ich specyałów. W marszu, gdzie tylko woda była, maczałem w niej bandaże i przewiązywałem ranę jego. Nieborak, ażeby okazać swoją wdzięczność za moją felczerską usługę, pyta mię znowu: *„A nieizwolili by wy francuzkowo wina? charoszeje imieju.“* — *„Pożałujtie gospodin pałkownik, poprobujem!“* odpowiadam; więc piło się i to nieźle!

Pomału mój ranny ochłonął z przerażenia, zaczął szeregi nasze przezierać, a nakoniec mówi: *„Jeślib ja żył, a wy menia jeti dwa eskadrony starych sałdat, czto nie w adnim srażeniu atliczalisia, razbili: korpusny skazałby menia: stydno wam gospodin pałkownik, czto was eta polska szlachta w puch rozorała! a to, czto sudba wielela, da i staniet sia!“*

Za wsią Grabowcem prowadzi droga wąwozem w górę, którym my maszerować musieli, lecz dwie sotnie kozaków z janczarkami, zastępują nam drogę w szyi. Nasz pułkownik spostrzegłszy to, umawia się wprzódy z dowódzcą pierwszego szwadronu, majorem Stanisławem Duninem, dawnym wojskowym, a potem zbliża się do konwoju naszego i mówi do pułkownika Bogdanowa: „Poszlij panie pułkowniku, wachmistrza swego jako parlamentarza do waszych kozaków, aby im zakazał strzelać w wąwozie; bo jak będą strzelać, to ja ciebie z twymi żołnierzami wystawię pierwszych na ten ogień, kładąc na czele mego oddziału.“ Bogdanów wyprawia wachmistrza z tem poleceniem, a dla odznaki parlamentarza, dano mu naszą lancę z przywiązaną białą chustką do grotu. My się zatrzymali, oczekując rezultatu tego parlamentarstwa.

Nasz dowódzca wątpił, ażeby takiego rozkazu, choć pułkownika, ale jeńca, kozacy usłuchali; z drugiej strony był pewnym, że jak wachmistrz posłany wyjedzie tylko na górę, zbiegną się wszyscy do niego, by słuchać, co ma im powiedzieć i dla tego wprzódy z majorem Duninem umówił się, co ma wtenczas zrobić. I tak się stało! Kozacy zbiegli się do wachmistrza, a Dunin z swoim szwadronem galopem poleciał na górę i rozpędził tę hałastrę. Pamiętam, przy tej aferze, strzelił z bliska kozak do Dunina, i przestrzelił mu kulą pelerynę, a flejtuch tlejący uwisł na tej pelerynie i kurzył się. — Jeden z żołnierzy naszych pyta się, czy nie ranny pan major? bo kurzy się z płaszcza; a dzielny major mówi: „Nie patrz synu na płaszcz (miał bowiem zwyczaj każdemu „synu“ mówić), ale patrz na tych huncwotów!“

Tak maszerowaliśmy ku fortecy Zamościa, odpierając ciągle nacierających kozaków, którzy dali znać dywizyi huzarów i co chwila, przybycia ich się spodziewali. Ale i Różycki zawiadomił o naszem zbliżaniu się generała Chrzanowskiego, stojącego wówczas z swoją 8.000 armią pod fortecą.

Nadspodziewanie szybko, wysłał Chrzanowski znaczny oddział wojska swego; wysłał bowiem piąty pułk ułanów i pierwszy pułk piechoty liniowej z całym pakunkiem i w paradnych mundurach. A i konać będę, a nie zapomnę tej chwili, wrażenia miłego i szczęścia, bo po raz pierwszy widziałem nasze wojsko polskie, z komendą w polskim języku! Przedtem nie widziałem wojska polskiego, gdyż do nas, do zabranych prowincyi, nigdy go nie wysyłano, tylko od czasu do czasu przybył remontier na jarmark dla kupna koni i tyle tylko wszystkiego widzieliśmy; a tu w masie, ubrani w białe pantalony, mundury z rabatami, a postawa, aż spojrzyć miło! Pragnąłem prawdziwie umrzeć wówczas, bym w zachwycie szczęścia, już nic więcej piękniejszego nie widział na świecie i gdyby się był wówczas nieprzyjaciel okazał, byłbym sam jeden na szwadron uderzył, ażeby zginąć z roskoszą! Uważałem, że cały oddział nasz popadł podobnemu wrażeniu, bo przy krótkim odpoczynku, po zmięszaniu się, nie do opisania radość ogólna malowała się na twarzach wszystkich. — Ale bo trzeba było widzieć to wojsko; podobnego mu nie było i nie będzie na świecie!

Nie długo trwał odpoczynek! Raźno zbliżamy się do fortecy; a tam pojazdów, bryczek, panów i pań wiele, z wieńcami! — Radość więc znowu powszechna! Dzisiaj jeszcze z roskoszą przypominam sobie to uniesienie! A jak zaczną wynosić z owych bryczek: pełne kosze przysmaków, wina, wódki, porteru, mięsiwa i jak rzucą się nasi Wołyńce na to, to także widok był nielada! W godzinę, kosze i butelki były próżne, a u Wołyńców czapki na bakier; a tu i muzyka wojskowa z fortecy przyszła ze śpiewakami! Gdy więc śpiew nasz narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła“ zabrzmiał w powietrzu, to już szczyt marzeń! Tu już spotęgowało się szczęście z rzewnością, bo nie jednemu łza radości w oku zabłysła.

Pułkownik Różycki kazał mi jeńców z pułkownikiem Bogdanowem odprowadzić do fortecy i oddać do rozporządzenia komendantowi twierdzy, jenerałowi Krysińskiemu: ten zaś polecił mi pułkownika Bogdanowa rannego odprowadzić do szpitala i tam oddać lekarzowi. Bogdanów, rozstając się ze mną, najczulej mię żegnał, dziękując żem go przy życiu zachował. Zapewniał przytem, że mi tego do śmierci nie zapomni; a odwdzięczając moją troskliwość w drodze, mówi mi, że chciałby jakąś pamiątkę zostawić mi, ale nie śmie, chce mi swoje srebra darować! *„Ja wasz praszu!* mówi, *wazmitie wy moi sierebra, mnie jetich nienada!“* a kiedym nie chciał przyjąć, bo i mnie na nic się nie zdały, on usilnie prosił i błagał: *„Zdiełajtie odałżenje, wazmitie!“* więc i przyjąć musiałem te srebra, które żołnierz jego w dekę wysypał i mnie oddał.

Nie namyślałem się długo co z tem zrobić? a było dość tego; myślę, że było około dwudziestu funtów razem wagi.

Jadę z tem do fortecy, w której miał cukiernię Włoch jakiś, pokazuję mu te srebra i mówię, że zamienię je na poncz, byle dobry. Pyta mię, ile szklanek żądam? Chciałem 200, a nakoniec zgodziłem się na 150 szklanek.

Odchodząc, poleciłem, aby poncz przygotował, a sam poszedłem i zaprosiłem prawie wszystkich oficerów z garnizonu i naszych. Przed północą jeszcze przy muzyce, wypiliśmy co do jednej

szklanki, bo restancyi jak dziś tak i pierwej nielubiłem żadnej!

Następnego dnia oficer, trzymający straż przy kazamatach więziennych, oprowadzał nas po więzieniach szpiegów, a w szczególności do jednego, bo ich było dziewięciu, których Rząd Narodowy po rewolucyi 29go listopada do fortecy przysłał i pod sąd oddał. Do tego więzienia, oprócz oficera, prowadził nas także podoficer z zapaloną latarnią korytarzem w wałach i doprowadziwszy do celi więzienia, otworzył ją. Najprzód ujrzeliśmy słomę, na której już szpieg kilka miesięcy przeleżał. Widok był przerażający, bo nie umiem wyrazić do czego owa słoma była podobną! Odzienie jakie miał ów żyd, popękało na nim; bez jarmurki, słowem obraz nędzy, która na nas takie wrażenie zrobiła, żeśmy już innych szpiegów oglądać nie chcieli. — Owi szpiedzy wkrótce dekretowani na śmierć, zginęli w połowie czerwca na szubienicy.

Zaraz tenże oficer poprowadził nas do więzień dla politycznych przestępców, które zbudować kazał umyślnie Wielki książę Konstanty, i sam je oglądał, chwaląc inżyniera, że według jego myśli taką torturę zbudował!... Od strony trzęsawisk wyłamany mur forteczny ciągnął się w półkole, a na płaskim dachu stały wycelowane armaty. Wewnątrz było siedm cel; każda miała cztery łokcie długości i tyleż szerokości; okienko w górze z grubego chropowatego zielonego szkła, umyślnie w hucie do więzień sporządzonego i na biało zalakierowanego; oprócz tego na tem gęsta druciana siatka. Więzienie to miało korytarz murowany na dwa łokcie szeroki i również zamknięty, gdzie żołnierz na warcie chodził i przez okienka malutkie co chwila do numeru, gdzie więzień się znajdował, zaglądał. Oficer garnizonu opowiadał nam, że za Konstantego pięć takich cel było zajętych przez więźniów politycznych. Jeden z nich oficer, którego nazwisko zapomniałem, przesiedziawszy w niem lat 5, kiedy po rewolucyi wypuszczony został wraz z innymi na wolność, nie mógł już z niej nieszczęśliwy korzystać, bo w strasznych tych kazamatach zmysły postradał! Dziś jeszcze po latach tylu, kiedy o tem wspomnę, dreszcz zgrozy mię przejmuje.

Z ALBUMU HALINY.

NA POCZĄTKU ŻNIW 1854 r.

My śpiewamy na zagonie,
A nad borem chmura;
Dalej chłopcy, snopy w dłonie,
Jakby do mazura!

Już wiatr świszcze, szumi niwa,
Mkną jaskółek stada;
Dołóż nasza nieszczęśliwa,
Już deszcz u sąsiada.

Boże weź dobytek kmieci,
Tylko daj nadzieję,
Że z nas każdy dla swych dzieci
Jeszcze raz zasieje.

Zostaw zboża byle na to,
Aby zasiać niwę,
Przyjdzie kiedyś lepsze lato
I żniwo szczęśliwe.

A gdy każdy na swej grzędzie
Garść ziarna uchowa,
Bujne żniwo dawać będzie
Kiedyś błoń lechowa.

S. Koźmian.

NOC KSIĘŻYCOWA

rzecz napisana podczas grania Sonaty Beethowena op. 27. przez p. H. S...

przez

J. CHOROŚNICKIEGO.

Sam, sam, całe życie sam!

Taki cudowny wieczór! słońce skryło się już za góry, kwiaty powoli zasypiają, drzewa i krzewy szumiąc mruczą wieczorne pacierze.

Dziś piętnastoletnia rocznica! piętnaście lat ciężkiej, krwawej pracy bez chwili spoczynku, bez odetchnienia swobodniejszego!

Jakże noc dzisiejsza podobna do tamtego wieczora; jak przed piętnastu laty wybiega na niebiosa jedna gwiazda po drugiej mrugając na siebie miłośnie.

O cudną była owa noc, choć straszna i wiecznie pamiętna dla przebytych cierpień, gdym z domu jej wybiegł z piekłem w duszy; gniazdo wężów wiło się i ruszało w mem sercu, łechcąc duszę okropnymi podszeptami.

Cisza panowała w naturze, a na niebie czuwał księżyc taki jakiś dziwny, promienny, porywający; odurzał swem światłem, jak narkotyczny napój chiński."

Słowa te mówił przedwcześnie zestarzały człowiek, siedząc w oknie pokoju swego, w jedną z najpiękniejszych nocy sierpniowych.

Oczy swe niegdyś pełne wyrazu, dziś zbladłe i smutnie patrzące zwrócił ku tarczy księżycowej, poglądając nań z dziwnie namiętną słabością, jaką dla wspomnień mieć zwykli ludzie miękkiego serca.

Przed nim stało wielkie orzechowe bióro, na którem leżały sterty aktów urzędowych; na jednej dłoni sparł głowę, drugą rękę położył na oknie, w palcach trzymał mokre jeszcze pióro, którem przed chwilą rozstrzygnął jakąś zawiłą sprawę.

Zdaje się, że na smutną nutę nastroić go musiała niemiła sprawa, bo smutnem patrzał przed siebie okiem, a wyraz jego twarzy tęskny i bolesny zdawał się wołać do księżyca dziwne słowa, i mówił doń szczególną jakąś smutną, nieszczęścia mową; dziwne myśli rodzić się musiały pod jego czaszką, bo usta czasem kurczowo drgnęły, czasem wąs się poruszył, pierś żywiej wzniosła, ręka silniej zacisnęła pióro w palcach.

— Sam! całe życie sam, i zawsze tylko sam — mówił do siebie smutnym głosem, jakby zapadał w marzenie pod wpływem magnetycznego światła księżyca — a przecież tak lepiej, niż gdybym — jak ot tych dwoje, co nie stworzeni dla siebie, musieli szukać rozwodu u sądu, gdybym się był ożenił z kobietą, którejbym nie kochał.

A przecież! przecież ja mogłem być szczęśliwy, ja byłbym musiał być szczęśliwym.

Mogłem stworzyć około siebie szczęście ciepła rodzinnego, którego tak pragnę i potrzebuję — a wtedy nie paliłby mi duszy widok szczęśliwej rodziny, która gromadząc się około jednego ogniska, cieszy się sobą, życiem... Od ludzi, z których twarzy promienieje rozkosz familijnego życia, nie pędziłyby mnie jakieś demony w świat szeroki... nie płakałbym z zazdrości na widok męża, który prowadzi ukochaną kobietą, wesołą i uśmiechającą się do niego, który ją ze wszystkich na ziemi wybrał kobiet.

Mój Boże! mój Boże! gdzież ta przeszłość urocza, pełna marzeń, rojeń pełna, dlategoż ona legła w tak okropne gruzy, że z nich się nigdy już podnieść nie może.

Jestem dziś prezydentem sądu, mam dostatki, honory, majątek, ale komnaty me samotne i ponure ściany, zaludnione tylko martwymi obrazy przeszłości i cieniami pogrzebanych wspomnień. Żadnej istoty żyjącej, któraby dzieliła szczęście, albo raczej wniosła je tutaj, dzieląc dostatki moje. Dom mój jest grobem żywego, żyje w nim tylko praca i cisza, cisza i praca.

O! dlaczegoż mi ludzie tak źle wyprorokowali!! przepowiadali mi zaszczyty, godności, dostojeństwa... dlaczego nikt nie przepowiedział, że będę szczęśliwym.

Oddam, o! oddam wszystko, co mam, za jedną chwilę rozkosznego szczęścia na łonie rodziny, z ukochaną kobietę przy boku.

Dla kogo moja praca? dla kogo trudy? dlakogo z pracy posiwiały mi włosy i wypadły spłowiałe rzęsy z zaczerwienionych powiek? pożółkłem, stałem się sześćdziesięcioletnim starcem przeżywszy cztery krzyżyki?... tylko dla zapomnienia, dla odurzenia... ach! jakto smutno pracować dla zapomnienia!

O! losie, wydzielając, jakże nie równo rozdajesz! wieluż ludzi pragnie dziś chleba, co mają rodzinę głodną, nieodzianą — ja — mam zbytki, których nie mam z kim podzielić.

Moja młodość, siła, energia, życie, to wszystko już tylko przeszłością, oczy spracowane w sine objęte podkowy, czerwone, chore, zmarszczone, od lat piętnastu nie patrzą na świat wesoło, choćby z zadowoleniem — „bo, na troskę" — powiedziała mi ona — „należy szukać zapomnienia w bezustannej pracy." — Jam też pracował, pracował, bez przerwy... chyba jeden rzut oka na księżyc w pełni.... „bo" — mówiła mi — „że w noc księżycową modlić się będzie za mój spokój i zapomnienie."

Chyba łza zgryźliwa, wydarłszy się na przekór woli i serca ze zdradą smutnych myśli, zawiśnie drżącą na rzęsie, a potem z wolna stoczy się po twarzy... to moja jedyna towarzyszka, jedyna, która przerwie samotność i ciszę...

Bo jam spokojny, wszak groby wszystkie spokojne.

— Spokój i zapomnienie! — powiedziała.— „Zapomnienie!" są i groby, których się nigdy nie zapomina... a! aa! aaa! jakże ciężkie życie!! jaka smutna teraźniejszość...

A życie tak miłośnie uśmiechało się do mnie przed laty... wszystko dziś przeszłością, dawną, starą, umarłą przeszłością, której mróz zimny zwarzył wszystkie zielone listki życia i zmroził je na zawsze, jak szron listopadowy...

Dokoła mam dostatek i bogactwo, stąpam po dywanach i kobiercach, patrzę w złociste zwierciadła, pyszne sztychy wiszą na ścianach, czemuż żaden do mnie słowa nie przemówi, dlaczego wszystko martwe, nieżywe, a życie moje całe smutnym grobem, w którym tylko praca, smutek i ja trzeci mamy mieszkanie; towarzystwem jedynem światło bladego księżyca lub błysk czerwony płomieni na kominku — a! — dodał prawie z rozpaczą kurczowo zaciśniętemi usty:

— Sam, sam!

Lat piętnaście! wszystkie odzywają się dziś wspomnienia, i w piętnastą rocznicę z podwojoną wracają siłą, a myśli moje... o, czuję, dziś górę biorą nademną, czuję, że nie mogę nad niemi

panować, że oprzeć im się nad moje siły. Jaki ten blask księżyca dziś jest dziwny... jaki magnetyczny wpływ wywiera... zupełnie tak, jak przed laty piętnastu.

Jaki ten świat piękny, jak to wszystko razem ładnie wygląda!! ten ogród, którego drzewa ciekawszymi liśćmi aż do pokoju zaglądają, jakże dziś piękny przy świetle księżyca. Ileż razy szczebiotliwe ptaszę, litując się nad samotnym pracownikiem, świegocąc usiadło na tem oknie; przed laty byłoby mnie to cieszyło — dziś do płaczu wzrusza.

Ślicznie tu jest! śliczna noc! i wówczas tak samo świecił księżyc i noc była taką samą, o! zupełnie taką samą... Mówiliśmy wtedy ze sobą po raz ostatni, a chociaż tyle przeżyłem i przecierpiałem, mógłbym powtórzyć każdą rozmowę z całą dokładnością, nie zmieniwszy ani wyrazu... o! każde jej słowo to jak nauka z pisma świętego, jak anioła natchnionego była jej mowa, czysta, szlachetna, wzniosła, a prosta.

Ile ona zawsze dobrych wzbudzała we mnie myśli, ile sił do życia; nieraz słowem, ruchem, dodała tyle odwagi, że dziś gdy je pomnę, czuję, jak się staję lepszym... jakby odrodzonym... Ale po co się rozdrażniać, po co budzić wspomnienia, które i tak usnąć nie chcą.

Lat piętnaście! to spory kawał czasu, a przecież pamiętam, jakby się to wczoraj działo. Tyle umie człowiek przecierpieć, przeboleć, tej miłości nie umiem ze serca wyrzucić, ani jej w niem pogrzebać. I jestem dziś sam, tak sam jak wczoraj byłem, jak będę jutro, jak zostanę do ostatka smutnych dni moich.

Dostatki, honory, poważanie, wszystko, czego mi ludzie tak zazdroszczą — jest jakby ironią losu, jakby szyderską odpowiedzią na moją modlitwę: *„Okruszynę szczęścia!“*... i mam też wszystko, tylko nie to, czego pragnę, o co się modlę... tylko nie mam szczęścia, bo nie ma go z kim podzielić, nie ma do kogo przemówić, bo nie słyszę głosu kochanego.

Płakałem, całując jej ręce i błagając na kolanach, ale szlachetnej dumy tego anioła nic złamać nie mogło, nic zachwiać!

Pamiętam, jakby się to przed chwilą działo... widzę jej postać uroczą, gdy zakrywając swe oczy cudne, usuwała mnie od swych stóp.

— Bądź zdrów! bądź zdrów na zawsze. Wiesz dobrze, że szczęścia innego, nie z tobą, szukać nie będę, i że tylko tę jedną mam pobudkę, mówiąc dziś tym głosem do ciebie: zapomnisz jeszcze! dziś jesteś tak młodym — zapomnisz! pokochasz inną, którą i twoja ukochana rodzina — a na mnie biedną nie spadnie łza żadna, żadne przekleństwo. Rodzice twoi wyrzekać nie będą, żem im zabrała syna, a ty mnie zawsze szanować będziesz; i kiedyś gdy minie gorąca miłość, zostanie dla mnie w twem sercu przyjaźń i szacunek; nie powiesz ani ty, gdy ochłoniesz z szału młodości i inaczej patrzeć będziesz na świat, ani nikt z ludzi, żem się na przekór woli rodziców twoich, do waszej wdarła rodziny.

O! pamiętam jej słowa, widzę jej postać, głos jej słyszę... Było już wieczorem, o tej właśnie godzinie, którą teraz zegary wskazują, gdy po ostatniej prośbie, rozdrażniony, zmęczony, po dwugodzinnem, daremnem błaganiu u nóg matki i zachmurzonego ojca, poszedłem do mojej narzeczonej.

Straszne miałem uczucie w duszy, i sercem miotała taka burza, żem zaledwie był wstanie panować nad sobą, czułem, że drżę cały, i że trzęsą mi się ręce i usta.

Olga siedziała przy fortepianie; pokój oświetlony był tylko światłem księżyca, a sprzęty wszystkie tak mi dobrze znane, dziwnie jakoś ponuro wyglądały w świetle księżycowem, ze swojemi niewyraźnymi bladymi, a długimi cieniami.

Olga improwizowała przy fortepianie jakąś cichą modlitwę, nie słyszała mego wejścia.

Dwie łzy szkliły w jej oku, zkąd? dlaczego? byłożto przeczucie? Nigdym jej nie mówił o niechęci mych rodziców, bo i cóż miałem jej powiedzieć? że jej nie chcę, bo nie ma posagu żadnego, że dlatego obalają jej i moje szczęście, iż jest ubogą?

O Boże! Boże! dlaczego czasem tak dziwnie plączesz nici serc ludzkich!?

Oni pomarli i zostawili mnie samego na pastwę samotności, nie dawszy uścielić sobie gniazda na całe życie; jako igraszkę losu, jak zabawkę swej chciwej dumy i dumnej chciwości, na szyderstwo i pośmiewisko ludzi z sercem.

Drżałem cały, gdym przekraczał próg Olgi pokoju, a miałem dziwne uczucie, gdym szedł do niej.

Chciałem opuścić tych dwoje starców bez serca, którzy dobiegłszy dni swoich szczęśliwie, jedynemu synowi węzła szczęścia niedozwolili zawiązać; chciałem wyrzec się ich na zawsze; kiedy nie chcieli mnie mieć szczęśliwym, niechby nie mieli wcale.

Piekło wrzało w mej duszy.

Alboż to po raz pierwszy ona jednem uspokoiła mnie spojrzeniem?

Gdy przyszedł i usiadł obok fortepianu ze wzburzoną piersią, Olga grała jeszcze chwilę, potem opuściwszy dłonie, przez łzy na mnie spojrzała.

Ukląkłem przy niej, wziąłem jej ręce, składając na nich pocałunki.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różczki stawałem się innym, *czułem* zmianę, która w sercu mojem rodziła się tak widocznie, że niepodobna było jej nie czuć; wzburzenie znikało, piekło, jak pod zaklęciem robiło miejsce spokojowi; namiętna natura uspokajała się i „byłem przy niej jak dziecko pokorny i cichy,“ posłuszny i łagodny.

— Co ci jest? czemu tak drżysz cały?

— Nic, nic! o teraz już nic — zapewniałem ją, ale jak zaczęła szczebiotać swoim aniołów językiem, z tym dziwnym spokojem, który naokół się szerzył i wszystko w swoje zaczarowane porywał koło, gdy patrzyła na mnie długo swojemi oczyma, nad które nie ma — nie ma piękniejszych na ziemi, gdy spojrzeniem swem jak błogosławieństwem oblała mą postać, o! czegóżbym nie zrobił na jej żądanie... czegóżbym jej mógł odmówić — powiedziałem wszystko; jak, kiedy, sam nie pamiętam i nie wiem ani słów, ani myśli, którem jak lawiną wyrzucał z piersi.

Ona słuchała mnie w milczeniu, jak boleść skamieniała, ani ruchem nie przerwała mej mowy. — Smutek widoczny zapanował na jej twarzy, usta chwilę drgały, łza wybiegła do oka i pod siłą woli cofnęła się do serca.

Olga pozostała spokojną, nieruchomą.

— Więc rozstaniemy się dziś na zawsze — bądź pan zdrów — i bądź szczęśliwy.

Strętwiałem:

— Żegnasz mnie? wyrzucasz z serca miłość bez chwili namysłu? bez odrobiny żalu!

— Nie mam się tu nad czem namyślać; mam tylko jedną drogę przed sobą, a do żalu pozostanie mi dość czasu. O! nie należałam i nie należę do kobiet, które przemocą lub podstępem wdzierają się do cudzej rodziny.

Kochałeś mnie — wiem o tem i wierzę temu... wszak i ja byłam i jestem prawdziwie do ciebie przywiązaną, nie wątpisz przecież o tem, ale przyznasz mi, że inaczej postąpić nie możemy.

— Dla ciebie, jedyna, ja się wyrzeknę świata, rodziny, Boga, wszystkiego, co mi na drodze stanie — zawołałem namiętnie.

— O! — rzekła z gorzkim uśmiechem — jak ci łatwo wyrzec się wszystkiego! Tych, których kochałeś od dzieciństwa, którzy cię jednego mają na świecie, opuściłbyś na jedno słowo, bez namysłu, bez wahania, dla kobiety, którą spotkałeś na drodze życia. Rozdrażnienie czy boleść z ciebie przemawia — gdy ochłoniesz cofniesz pewnie te słowa.

— Nie! o nie! nie mówię w rozdrażnieniu, miałem dość czasu do zastanowienia się i prędko się decyduję; — znasz mnie z tego względu i wiesz, że nie rychło zmieniam słowa moje. Mówię całkiem seryo, całkiem poważnie i rozważnie... Wyrzekam się...

Przerwała mi ruchem ręki.

— Do czego ta mowa! wiem, że tak nie zrobisz, bo stracićbym musiała szacunek dla ciebie, gdybyś tych siwowłosych dwoje osamotnił na starość — gdybyś za miłość odpłacił im czarną niewdzięcznością; pomyśl, jakbyś ich zrobił nieszczęśliwymi, gdyby cię żywego stracili.

Wszak tak kochasz swą matkę starą... o! zastanów się, jak gorzkie łzy biegłyby po jej zmarszczonem licu, i padały na mnie, na ciebie, i przekleństwem zawisły nad naszem szczęściem! Stawiam się w twe położenie — a chociaż matka moja nietylko mnie jedną ma na świecie, o! z pewnościąbym nie opuściła jej nigdy, i nigdy nie wyrzekła się choćby dla ukochanego człowieka, nie! o nie! — i gwałtownym wybuchła płaczem.

— Zlituj się nademną! — wołałem — czyż mam ja obowiązek czuwać nad ich szczęściem, gdy oni moje łamią i targają i deptają bezlitośnie?

— Ty o tem wątpisz? powtarzam raz jeszcze, że ból z ciebie przemawia i nie zastanawiasz się nad słowami swemi. Ty masz dla rodziców tyle powodów wdzięczności, oni dla ciebie żadnego, tyle obowiązków — oni żadnego. — Jesteś młodym, czyż raz człowiek łamie i targa miłość w sercu, zmuszony okolicznościami? uczciwy, wyższy człowiek idzie za głosem powinności, jeżeli go z głosem serca pogodzić może; z boleścią łamie miłość, ale w nagrodę za poświęcenie Bóg obdarza go szczęściem. Droga powinności, jako droga uczciwa, prowadzi zawsze do szczęścia, a dla kobiety, która nie kazała deptać dla siebie związków rodzinnych, zachowa uczciwy człowiek zawsze przyjaźń i szacunek. Jesteś młodym, oni są starcami nad grobem; pomyśl czy się godzi byś ty, syn, i ja, która powinnam i mam być dla nich tem, czem córka — gdybyśmy my dwoje zawołali: „wyrzekamy się was, nie dbamy o resztę dni waszych, bo idzie o nasze szczęście“ — i może popchnęli ich w grób — i to wszystko przezemnie — i dla mnie... nie! o nie!

— Oni się dadzą przekonać, gdy cię poznają, muszą cię pokochać.

— Gdyby im szło o moją osobę, moglibyśmy się tem choć chwilę łudzić — ale tu idzie o posag, którego ja nie mam. Lecz dajmy na to, że to co mówisz, będzie mieć miejsce, i w takim razie jednak dopiero wtedy będziemy mogli się

widzieć i myśleć o sobie. — Nie uznana przez rodzinę twoją ani godziny dłużej narzeczoną twoją być nie mogę, jeżeli mnie szanujesz choć trochę, przyznasz to pewnie.

— A! jesteś bez serca — oni mają lat kilka — ja życie całe przed sobą; oni nie mają tu racyi i ustąpić muszą! dla ich dumy, pychy, chciwości poświęcasz nas oboje, a gdy będziesz żoną moją, muszą cię przyjąć za córkę.

— Właśnie dlatego, że oni mają tylko lat kilka, nie należy im ich zatruwać — o! wierzaj mi, młodzi jesteśmy, obojgu łatwiej będzie zapomnieć i inne zbudować szczęście przy ich błogosławieństwie, aniżeli żyć razem pod ich przekleństwem.

— O! nie mów tak! znam cię aż nadto dobrze! wiem, że miłość nie jest u ciebie zabawką, że jutro nie będzie ci to obojętnem, coś kochała wczoraj — zabijasz siebie i mnie bez litości, kiedy odrobina woli i energii obojgu dałaby nam szczęście. O! i nietylko nam! bo stary ojciec i matka mieliby córkę w tobie, otoczylibyśmy ich pieszczotami i dali szczęścia tyle... iżby...

— Mój Zenonie, mój dobry Zenonie — przerwała mi, a łzy długo wstrzymywane, jak groch duże padały z jej oczu, dziś jeszcze słyszę drżenie każdej zgłoski jej słów — zamiast poprzeć mnie, zamiast dodać odwagi i otuchy, utwierdzić na drodze obowiązku i powinności, co do ciebie należy jako do mężczyzny i syna, ty mnie rozdrażniasz, osłabiasz. Wiem dobrze, jak silnie jesteś przekonany, że inaczej zrobić nie powinnam, nie mogę, że inaczej nie zrobię; tylko przez rodziców twoich przyjmowana będę w twoim domu — inaczej nie uczynię tego nigdy. Nie zabieraj mi tych sił ostatka, dodaj choć słowem odwagi i powiedz spokojnie, zimno, jak pewnie powiesz za lat kilka: czy ja uczciwie nie postępuję? czy nie tak każe sumienie? honor, ambicya i wszystkie święte obowiązki?

— Więc to twe ostatnie słowo?

O! nie kochałaś mnie nigdy prawdziwie, kiedy dla kaprysu dwojga starców poświęcasz moje życie — nasze szczęście. Zarabiam dziś tyle własną pracą, że przyzwoite utrzymanie dać mogę żonie mojej, a posagu nie potrzebuję żadnego, ani dla szczęścia ani dla zbytku. Wymaganie ich jest kaprysem, dla którego zadowolenia ja siebie nie poświęcę!

— Bluźnisz! wiesz dobrze, że mowy takiej słuchać nie lubię. Dlaczego mamy się rozejść w gniewie, kiedy możemy w przyjaźni? Rodzice upatrują szczęście w tem, aby mieli synowe posażne; dziś gdy grosz jest prawie wszystkiem, gdy bez niego, nieledwie, że żyć niepodobna — czyż możesz się temu dziwić? zresztą gdyby nawet tak było, gdyby to był kaprys, jest to zawsze kaprys tych ludzi, że chcesz czy nie chcesz — ustąpić mu musisz.

— Nie! nie! nie! ja cię nie opuszczę i nie ustąpię od nóg twoich. Gdy będziesz moją żoną oni cię uznać i pokochać muszą, muszą ocenić twój szlachetny charakter.

— O! nie będzie on wcale szlachetnym, jeżeli tak się stanie.

— Będzie! będzie! — zawołałem namiętnie porywając jej ręce. — Olgo! dla ciebie wyrzeknę się świata — usuniemy się od wszystkiego i będziemy żyć cicho, samotnie, wystarczając nawzajem dla siebie.

Łagodnie usunęła moje ręce.

— Raz jeszcze powtarzam, nie! nie! fraze sem są twoje słowa o porzuceniu rodziny.

Biedactwo! dziś dopiero widzę i rozumiem, ile kosztować ją musiało każde słowo takie, ile siły było w tej duszy, która tak spokojna na pozór, wielką staczała walkę, bo walkę z sobą, z sercem i miłością prawdziwą i głęboką.

Siliła się i wynachodziła różne przyczyny, których ja nie uznawałem, a którym i ona nie bardzo wierzyć musiała.

— Człowiek — mówiła do mnie wynajdując ciągle nowe motywa do poparcia słów swoich — który opuszcza matkę, ojca, i targa węzły rodzinne, dla kobiety, którą stosunkowo zna tak krótko, który zasmuca i osamotnia starców nad grobem, którzy mu życie dali i których sam mówił, że nad życie kocha, z którymi spleciony jest świętym węzłem miłości rodzinnej, opuściłby znowu żonę po jakimś czasie, gdyby inna stanęła przed nim kobieta i powiedziała: pójdź za mną!

— Ciebie porzucić! dla innej!

— O wiem — zawołała przez łzy — żebyś mnie nigdy nie opuścił, ale też dla tego i rodziców dzisiaj nie opuścisz.

— Bądź zdrów — dodała cichym głosem — nie mówmy dłużej, bo słów szkoda i szkoda sił i życia, aby się daremnie rozdrażniać, bądź zdrów i szczęśliwy, zapomnij o biednej Oldze, tylko nie przestań jej szanować; żyj dla nich.

Uczułem mały pierścionek na mojej ręce, była to obrączka z turkusem, którą jej dałem w dniu, kiedym mówił, że ją kocham i że jej nigdy nie opuszczę.

Chciała zdjąć z palca mego swój pierścionek.

— O zostaw mi go, nie zabieraj mi tej drogiej pamiątki jedynej od ciebie. Będzie to zadatek lepszej przyszłości, może zdołam jeszcze przekonać, przebłagać ciebie lub rodziców.

— Więc zostawiam ci pierścionek, ale pamiętaj, że lepiej dla mnie i dla ciebie, abyśmy się więcej nigdy nie widzieli.

— A jeżeli ustąpią?

— Przyjdziesz tu ze swą matką lub wcale nie przyjdziesz, bądź zdrów.

— Tak, bądź zdrowa — odrzekłem ponuro — stanie się wedle woli twojej, ale nie odmów ostatniej mojej prośbie. Gdy wieczorem modlić się będziesz, westchnij czasem za moją duszę, bądź zdrowa.

Olga stała na środku pokoju, strumień światła księżycowego snopem wielkim wpadał przez okno i oświecał jej wątłą postać; zdało mi się, że uleci do nieba na tej strudze światła; z oka jej błysnął płomień.

— Zenonie! — zawołała do mnie podniesionym głosem — zapewne musisz wiedzieć, że gardzę samobójcami, jak każdym innym tchórzem opuszczającym posterunek.

Po chwili dodała swym zwykłym słodkim głosem:

— A i dla mnie, jeżeli masz jaką iskrę uczucia, nie zrobisz tego dzisiaj, ani nigdy, przez pamięć moją, gdy mnie tu nie stanie. O! ja cię zabijać nie chcę, i nie zabijam. Pomyśl jakby mi ciężko żyć było z podobną myślą; o! wierzaj i tak nie bardzo lekkie moje życie. Prośbie zadość uczynię; każdego wieczora, gdy księżyc wybieży na niebo, jak teraz, na promieniach światła jego poszlę z myślą moją modlitwę za ciebie do Boga, za twój spokój i zapomnienie, i wierzaj, wierzaj, gorąco będę Boga prosić, abyś o mnie zapomniał, i abym ci nigdy na myśl nie przyszła. Masz wielką przyszłość przed sobą; mówią to wszyscy. W pracy znajdziesz chwilowy spokój, a potem stworzysz sobie rodzinę podług myśli twej familii i w szczęściu otoczony kochanymi i kochającymi, za lat piętnaście, gdy wspomnisz na mnie, nie będziesz przeklinał. Zapomnę, zapomnę ciebie i będę ci wdzięczną jak o mnie zapomnisz, jak mnie posłuchasz i będziesz takim synem, jakim ci obowiązek i powinność być nakazuje.

— Żegnam cię, bądź zdrów.

— Niech ci Bóg przebaczy. Olgo, Olgo! czym ja mógł myśleć, że my się tak rozejdziemy.

Ale mówiłem już tylko do siebie, do ścian pustych; w pokoju nie było nikogo, słyszałem tylko łkanie obok.... i jej się wyczerpał spokój i siły.

O ludzie bez serca niech wam Bóg przebaczy.

Miała słuszność biedna Olga; praca bez przerwy zaprowadziła mnie dziś już tam, gdzie nie jeden wcale nie dochodzi.... i cóż z tego? cóż mi po tych zaszczytach, sławie, stanowisku, dla kogo to wszystko? Mnieby lepiej było w cichym grobie... o! dla czegoż nie umarłem!!! dla czego słowa jej miały taki wpływ na mnie, że dziś jeszcze drżałaby mi ręka i słowa jej pogardy odpędziły myśl samobójstwa od serca.

Jednego tylko nie przewidziała; tylko tego, że dnie moje samotnie będę pędzić walcząc między pamięcią o niej i samotną rozpaczą; tego, że za lat piętnaście będę za nią zawsze tęsknił i bolał, że stary, siwy, pożółkły, spracowany prezydent, będzie ją tak samo kochał, albo jeszcze idealniej, jak przed piętnastu laty zakochany młodzieniec.

— Olgo! moja Olgo!! — zawołał głośno wyciągając ręce ku światłu księżyca.

Nie pozwolili, nie pozwolili.

I daremnie jęczałem u ich stóp wylewając nie raz łzy gorące... matko, ojcze! zlituj się, zlitujcie się, zabijecie mnie, ona bez waszego zezwolenia nie wejdzie do domu naszego; czyż ta marna mamona, której nam zresztą nie brak, ma stać na przeszkodzie do uszczęśliwienia mnie, jej i was?

Zważcie jak czułą córką będzie kobieta, która dziś już ulega naszemu kaprysowi? pomnijcie, wszak także byliście młodymi i kochaliście się serdecznie, wszak pobraliście się, mając mniej, jak ja i dobrze było wam na świecie.

Wszystkie słowa moje daremnemi były, serc z kamienia nic wzruszyć nie mogło — i dziś ona w grobie, a ja sam na świecie, gorzej jak w ciasnej trumnie.

Umarła moja pieszczotka; duch jej szlachetny za wzniosły był, aby długo między materyalnymi przebywać głazami, potwory-ludzie nie jej mogły być towarzystwem.

Wątłe, śliczne jej ciałko porwały suchoty w straszne swe szpony... tęsknica, zawód, ból, łez potoki zabiły mi Olgę...

O! jabym był ją uratował, byłbym jej dał szczęście, spokój... bom ja ją kochał i czułem, że w mej mocy uzdrowienie jej było... ale!... umarła!!

— Matko — zawołałem, wyście ją zabili, na waszem sumieniu cięży jej życie.

— Chwała Bogu, żeś się z nią nie ożenił — miałam racyę — suchotnica.

— Ha! Dlaczegożeście mnie tak wychowali, że mam inne jak wy pojęcie, inaczej patrzę na świat. Mógłbym... nie czuć do was bólu i żalu nieprzełamanego.

*

Usnęła cicho, spokojnie; śmierć jej była jak życie cichą, samotną, nikt nie wiedział nawet, kiedy usnęła, aby się już nigdy nie zbudzić, bez jęku, bez skargi; jak przez życie, tak przy śmierci nie była nikomu zawadą, nikt o niej nie wiedział, a na ustach miała taki uśmiech przebaczenia słodki i miły, że pewnie przed tron Boga żadnej nie poniosła skargi, żadnego żalu do ludzi, którzy jej tyle złego wyrządzili.

O! czemu ja nie umarłem, byłbym dziś przy tobie, Olgo, moja Olgo!

I patrzył stary prezydent sądu w księżyc pełny, którego światło upajało go i dziwnie rozgorączkowało.

Po niebie w różnych kształtach pływały chmury różnobarwne, gwiazdy migały bez przerwy; lazur nieba był coraz przezroczystszy, coraz piękniejszy.

Na ziemi cisza panowała, owady i ptactwo usnęło, niekiedy tylko żaba głośniej zażegotała.

Kilka kroków od domu stała wielka kamienna studnia; pilnowały w niej wody dwa lwy, których nieruchome postacie od lat niepamiętnych ułożone na straży dziwnie pięknie i wspaniale wyglądały przy świetle księżyca.

Ścieżki żółtym wysypane piaskiem odbijały od zieloności krzewów, kwiaty odurzającą woń wydawały, w powietrzu cisza, spokój nie przerwany nawet głośniejszym brzękiem owadu.

Woda w studni kamiennej zdawała się z mniejszym lecieć szelestem bez plusku, bez szumu.

Ponure, poważne lwy zasnęły na śmierć, nawet trawa, krzewy i drzewa, jakby skamieniały, nawet liść osiki drżeć przestał, a księżyc świecił pełnymi promieniami, świecił coraz jaśniej, świecił coraz wyraźniej i porywał, magnetyzował swojem światłem.

Prezydent, stojąc oparty o framugę okna długi czas poił się cudowną wonią kwiatów i upajał jakby narkotykiem dającym zapomnienie: ciszą, księżycem, światłem, wieczorem uroczym, przeszłością, czy wspomnieniem.

Są w życiu ludzkiem czasem chwile dziwnej słabości, że najtęższe umysły, najsilniejsze charaktery oprzeć się jej nie mogą.

Prezydent drżał cały jak w gorączce, oparł się całą siłą o framugę okna, a oczy wlepił w księżyc i nie miał siły oderwać ich od niego chociaż czuł, że traci przytomność i że właśnie światło księżyca ten stan w nim wywołuje.

Było mu jakoś tak dobrze, zapominał o świecie, ludziach i swej samotności.

Nagle jaśniejszy z tarczy błysnął strumień światła i jakby wstęgą srebrzystą połączył księżyc z oczyma patrzącego.

Na drugim tej wstęgi świetlanej końcu z promieni księżyca wyłaniała się postać w bieli i przybierała coraz wyraźniej kształty ludzkie czy anielskie.

Białemi owinięta szaty, odziana wieńcem róż, osłonięta rajską wonią płynęła majestatycznie uroczo po rzece księżycowego promienia, który wytrysnął na niebie i padał w oko samotnika.

Długo patrzyła na prezydenta swemi dużemi oczyma i łagodnym śmiała się doń uśmiechem. Obie rączki wyciągnęła ku niemu, na skroniach jego rozpalonych złożyła swe dłonie z takim jakimś dziwnym spokojem, że biedny czuł się jakby natchnionym, jakby prąd życia nowego spłynął doń z tych dłoni ukochanych, niby błogosławieństwo.

— Wołałeś mnie — rzekła do niego cichym, spokojnym głosem—przyszłam po latach piętnastu ale proszę przebacz mi i zapomnij o mnie... jam nie mogła, nie umiała zrobić inaczej.

— O! Olgo! — szepnął prezydent, bojąc się głośniej przemówić, aby o jej obecności nie dowiedziały się liście drzew, które zaglądały ciekawie do jego pokoju — moja Olgo, mój aniele, ciebie zapomnieć . . . .

. . . .

— Proszę pana, herbata na stole — obudził prezydenta głos starego sługi, który przywykły do zadumań swego pana zawsze mu je przerywał.

J. Chorośnicki.

KORESPONDENCYA LITERACKA.

(*Johann Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen. Ein Beitrag zur Literaturgeschichte der Slaven von Raphael Löwenfeld. Polen. 1878*).

P. Löwenfeld, pociągnięty słowami Roepell'a w jego przedmowie do historyi Polski o ważnem dla nauki znaczeniu dziejów słowiańskich, wybrał za przedmiot swoich studyów Jana Kochanowskiego, ponieważ polski naród zajmował pierwsze miejsce w rzędzie słowiańskich ludów. „Znaczenie tego słowiańskiego plemienia — powiada autor w przedmowie — opiera się z jednej strony na wysokiem jego umysłowem wykształceniu, które w szesnastem stuleciu dosięgło swego szczytu, z drugiej strony na nadzwyczaj wczesnym rozwoju republikańskiego w nim państwowego życia, które właśnie z powodu swej wczesności musiało nosić w sobie zarodek upadku. Polacy z pomiędzy wszystkich słowiańskich ludów stali od dawna najbliżej do cywilizacyi europejskiej; Polacy tylko wzięli udział w walce chrześciaństwa europejskiego przeciwko wtargnięciu Turków, a nawet ostatni świetnym czynem obumierającego bohaterskiego ducha ich rycerzy było oswobodzenie Wiednia od najeźdźców azyatyckich" (V. VI.) Starożytna klasyczna literatura stanowiła tło, na którem szybko rozwijać się poczęła umysłowość 16 stulecia. Charakterystycznym rysem polskiego narodu przedstawia się ta okoliczność „że w tym czasie, kiedy uczeni reszty Europy nagromadzali stosy komentarzy do poetów i pisarzy klasycznych, Polacy raczej naśladowali ich sami i wytworzyli całą szkołę nowo łacińskich poetów. Wielu z nich cieszyło się europejską sławą.." (VII.)

Jan Kochanowski, jak wiadomo, zaczął pisać po łacinie i nawet później, kiedy stał się już sławnym poetą polskim, nie porzucał liry Horacego, Tibulla i Wirgiliusza. Zwłaszcza tych trzech ostatnich poetów naśladował, brał od nich często pomysły a nieraz wcielał do swoich poezyi całe wiersze i zwroty z ich utworów. I nie tylko to czynił w łacińskich, ale i w polskich swych poezyach. Wykazał to Przyborowski na *Fraszkach*, które najbardziej ze wszystkich jego utworów zdawały się nosić cechę oryginalności. Pomimo to, nikt nie zarzucał Kochanowskiemu braku oryginalności, albowiem nadał wszystkiemu taką barwę swojską, że zarówno współcześni jak i późniejsi znajdowali prawdziwą przyjemność w czytaniu jego utworów. Wiele zdań jego nabrało przysłowiowego znaczenia, że przytoczę tu kilka:

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi;
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda;
Nad wszystkiem inszem panuje przygoda.
(Pieśni: Nie fortunie, ale cnocie ufać trzeba).

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!
(Pieśni: Sława jedna zostaje po człowieku.)

To pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.
(Pieśni: Pochwała mierności).

Nie — kto ma złoto, ma perły, ma szaty,
Ale — kto na swem przestał, to bogaty.
(Fragmenta.)

Kochanowski nie wznosił się po nad ogół szlachty swojemi przekonaniami i dlatego miał wielkie pomiędzy nią powodzenie; przedstawiał jednak jej dobrą stronę: prostotę w życiu, przyjacielskość stosunków, ludzkość, wyrozumiałość i td.

Przytoczę tu kilka ustępów, charakteryzujących jego przekonania:

Insi niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
A ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nie przykrą starością.
(Fraszki).

Co bez przyjaciół za żywot? więzienie,
W którem niesmaczne żadne dobre mienie...
. . . .
Uchowaj Boże! takiego żywota,
Daj raczej miłość, a chociaż mniej złota.
(Pieśni: Na zachowanie).

Pij ty, włodarzu i mów, coć się będzie zdało,
Prosto, jako za naszych ojców więc bywało,
Takci bywało, panie! pijaliśmy z sobą,
Ani gardził pan kmiotka swojego osobą.
(Pieśni: Przymówka chłopska).

Pośle papieski rzymskiego narodu!
Uczysz nas drogi a sam chybiasz brodu.
Nawracaj lepiej, niźli twój woźnica,
Strzeż nas tam zawieść, gdzie płacz i tęsknica.
(Fraszki).

Praca p. Löwenfelda składa się z dwóch części: 1. Żywota Jana Kochanowskiego (str. 7—72) i studyum krytycznego nad łacińskiemi jego poezyami (str. 73—147).

P. Löwenfeld kreśląc żywot poety z Czarnolasu, opierał się na nowych pracach Przyborowskiego i Gackiego, zużytkował ogłoszone w ostatnich czasach dokumenty i z wielką krytyczną przenikliwością z samych poezyi Kochanowskiego poustalał pewne daty. Tak, opierając się na pieśni, gdzie Jan z Czarnolasu opisuje troskliwość swojej żony, (wydan. Tur. I. stron. 19.) i na pieśni do Mikołaja Wolskiego (Turowski, I. str. 64), autor przekonywa, że zaślubienie Doroty Podlodowskiej przez Kochanowskiego nastąpiło w 1574 r. (str. 30 i 31). To też biografia, napisana przez p. Löwenfelda, obfituje w nowe szczegóły, których nie znajdujemy ani u Bartoszewicza, ani u Przyłęckiego, ani w nowszej Encyklopedyi Orgelbranda, jak npd. o pobycie Kochanowskiego w uniwersytecie krakowskim pomiędzy 1544 i 1549 r.

Zwłaszcza krytyczna przenikliwość p. Löwenfelda ujawnia się w jego pracowitem i drobiazgowem studyum nad łacińskiemi poezyami Kochanowskiego, gdzie z wielką ścisłością oznacza rok napisania każdego niemal utworu. Wiele przytem wykrywa ciekawych szczegółów, tak npd. badając: *Epitaphium Doralices* i znajdując w niem bliskie pokrewieństwo z *Trenami*, autor zaczyna wątpić, ażali zmarła córeczka Kochanowskiego rzeczywiście nazywała się Urszulką, zowie ją bowiem ten ostatni po łacinie *Doralice*, a wiemy nadto, że żonę swoją Dorotę, w polskich poezyach przezywa Anną a w łacińskich Pasiphile; nie ma zaś innych dowodów, że Urszulka nie jest zmyślonem imieniem Przytem autor mniema, że Jan z Czarnolasu napisał naprzód Epitaphium, a dopiero później rozszerzył i udoskonalił ten swój utwor w Trenach.

P. Löwenfeld w przypiskach przytacza wiersz który dotąd nie był jeszcze drukowany w żadnem z dotychczasowych wydawnictw poezyi Kochanowskiego. Wiersz ten znajduje się na słowniku łacińsko-polskim Jana Mączyńskiego z 1564 r. i brzmi jak następuje:

Żebyś do szkoły nie po wszystko chodził,
Ale sam czasem drugiemu pogodził.
Wielką mieć pomoc z tych ksiąg gościu będziesz,
Gdy nad łacińskim językiem usiędziesz.
Nie bądźcie hardzi swym żakom mistrzowie,
Wszystko tu najdzie, co wy macie w głowie.

B. L.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 19. czerwca.

Nie uwierzycie szanowni czytelnicy, jak przykro jest naszej Redakcyi, że nie miała za co posłać specyalnego korespondenta swego na kongres do Berlina. Z tego powodu bez narażenia się na posądzenie o plagiat, nie możemy wam podać rysunku balowej sali w pałacu Radziwiłłowskim, ani też zakrzywienia stołu w podkowę, przy którym na podobieństwo hufnagli zasiedli wielcy świata tego. Że oni kogoś okują w tę podkowę, nie ulega wątpliwości, ale kogo? — to do dziś jest tajemnicą. Z tej samej przyczyny nie możemy wymienić potraw jakiemi w białej sali zamku królewskiego Cesarz-zastępca raczył stu sześćdziesięciu biesiadników, ograniczając się do wiadomości, że potrawy te były bardzo zdrowe, gdyż dotąd żaden z kongresowców nie zachorował, i że nasz minister nie rodak, ale wspólny, trącał się kieliszkiem z panią zastępczynią cesarzowej niemieckiej. A nie jest to wiadomość tak mało ważna, jak się z pozoru wydaje, skoro jeneralna komenda we Lwowie kazała kupić aż 614 galicyjskich roboczych koni dla przywiezienia z Berlina tego nowego rodzaju państwowego splendoru.

Oto są najważniejsze doniesienia szczęśliwych korespondentów kongresowych do uszczęśliwionych gazet naszych. My zajmując skromne stanowisko w obec tych wypadków, kłopoczemy się niepomału rozbijaniem się naszego wiedeńskiego Koła na mniejsze kółeczka, a jeszcze bardziej zawieruszeniem się gdzieś lwowskiego posła hr. Artura Gołuchowskiego. Nie przypuszczamy bowiem, aby szanowny hrabia chciał w tej okoliczności naśladować Twardowskiego, zawisnąwszy w obłokach między Kołem a kółeczkiem, boć przecie obdarzyłby nas choć jednym bilecikiem, objaśniającym jak mu się też Koło poselskie z tej wysokości przedstawia. Prędzej przypuszczamy, że z memoryałami swemi o odbudowaniu Polski i z pełną kieszenią skrystalizowanego zaufania wyborców lwowskich, cichaczem pojechał do Berlina. Są tacy, którzy utrzymują, że pilnuje na wsi sprzętu siana, aby z niego przygotować materyał do wykręcenia się w obec tak drażliwej sprawy rozbicia solidarności w gronie posłów naszych do Rady państwa... Partya, która z takim zapałem popierała jego wybór, jakoś krzywi nosem i milczy; czyżby się zawiodła na odwadze cywilnej szanownego hrabiego? Może być, i to się ludziom na świecie przytrafia, jak się przytrafiło Austro-Węgrom, których Moskale z Anglikami wyprowadzili w pole. Tak sobie cichutko i po przyjacielsku za plecami Austryi podzielili się Turcyą w imię spraw europejskich i dobra ludów, podległych berłu padyszacha, a hr. Andrassemu powiedzieli — „staraj się tak jak my." Więc też nakazano mobilizacyę, a co ważniejsza zabroniono wywozu z Austryi wszelkiego rodzaju mułów i tym podobnych jucznych zwierząt czworonożnych z doniosłemi uszami. I to jest wielkie szczęście dla nas, bo tego rodzaju osobniki są nadzwyczaj użyteczne, gdy idzie o drapanie się do góry, jest więc nadzieja, że nie spadniemy bardzo nisko.

Jeżeli Berlin z całotygodniowej pracy kongresowej nie ma nic pozytywnego do zaznaczenia, to za to Lwów ukończył obrady nad otwarciem Wysokiego Zamku dla ekwipaży.... Nie pozwoliła Rada miejska i rzecz skończona! To mi się podoba, nasze mieszczaństwo górą, a pan Onufry ze „Szczutka" raz przecie będzie zadowolony z inteligentników. Drugim faktem, nie mniej ważnym w dziejach naszego grodu, jest niewątpliwe rozbudzanie się przekonań republikańskich w publiczności, przez demonstracyjne popieranie rzeczypospolitej teatralnej. „Słomkowy kapelusz" przez trzy po sobie następujące przedstawienia zapełnił teatr, a wszystko w nim od góry do dołu i od pierwszego podniesienia kurtyny do końca piątego aktu śmiało się jakby najęte, patrząc na tarapaty pana Lubicza, szukającego po Paryżu słomkowego kapelusza. O ile słyszeliśmy, gromadka pozostałych artystów, mimo to, że tylko trzy razy na tydzień daje przedstawienia, mimo tropikalnego gorąca w sali i braku dam figurantek wielkiego świata, które w salonach muzykalnej margrabiny zastępywać musi najętemi statystkami bez rękawiczek, jednak zapłaciła sobie z dochodów zwykłą gażę i coś jeszcze zaoszczędziła na ciężkie czasy... Tymczasem p. Terenkoczy w Eldoradzie warszawskim podobno nie znalazł eldorada i musi zastosować do siebie przysłowie „lepszy w domu groch, kapusta, niż na wojnie kura tłusta."

Publiczność lwowska, pokazuje się, umie ocenić rzetelną pracę i staranność artystów, którzy starają się o pozyskanie jej sympatyi przedstawiając sumiennie to, na co wystarczają ich siły. Powszechne tylko zadziwienie obudza nieobecność na scenie pani Parżnickiej i p. Fiszera, którzy są we Lwowie, a jednak nie przyłączyli się do ogólnej rzeszy zostawionych na bruku artystów...

Festyny jakoś ucichły, mamy zapowiedziany tylko jeden na dochód Stowarzyszenia artystów sceny lwowskiej, ale to festyn dotąd niewidziany na górze Wysokiego Zamku... i jeżeli tylko Pan Bóg nie będzie chciał z deszczem interweniować w niedzielę, możemy się spodziewać, że fakelcug z pochodniami na kopiec Unii powiedzie się najzupełniej...

Skandalików większych w tym tygodniu nie było wiele: aresztowano tylko dwóch paniczów, nibyto z wyższej warstwy towarzystwa za przywłaszczanie sobie cudzej własności dla nadania swym osobom należytego szyku.

Jeden uczeń nie zdawszy matury, zastrzelił się z rozpaczy, a sąd przysięgłych wpakował do kozy burmistrza i kasyera miejskiego z Kałusza za przywłaszczanie sobie funduszów gminnych. Coś te rabunki przez autonomicznych urzędników po miastach i miasteczkach na majątkach gminnych popełniane, zaczynają być coraz częstszemi, dla tego też władze krajowe i sądy powinny się wziąć energicznie do wytrzebienia tych nadużyć służbowych przynoszących prócz szkody i zakałę społeczeństwu... Gdy moralność publiczna zaczyna tracić grunt uczciwości pod nogami, tam wszelkie półśrodki i uwzględnienia tylko przyspieszają zgniliznę społeczną, od której powinniśmy się bronić wszelkiemi siłami.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Głos do Boga.* Książka do nabożeństwa zebrana i ułożona przez ś.p. Leokadyę z Gajewskich hr. Engenström. 8ka, str. 335. Warszawa, 1877 r. 1 złr.

— *Masalski E. T.* O naturze i pochodzeniu dusz ludzkich, 16ka, str. 45. Kraków, 1878 r. 36 ct.

— *Peschel Okar.* Historya wielkich odkryć geograficznych, zeszyt I. 8ka, str. 80. Lwów, nakład Księgarni Polskiej, 1878. Prenumerata 5 złr.

— *Reitzenheim Józef.* Udział piątego pułku ułanów wojsk pplskich, podczas kampanii r. 1831. 8ka str. 116. Lwów 1878. 80 ct.

— *Rozwiązanie kwestyi wschodniej* przez b. oficera sztabu 8ka str. 81. Kraków 1878. 40 ct.

— *Szlosser* Dzieje powszechne zeszyt 134 i 135 (ostatni)

— *Zarański Stanisław.* O nazwach geograficznych słowiańskich i znaczeniu ich w systemie edukacyjnych. 8ka str. 34. Kraków 1878 40 ct.

— *Zawadzki Władysław* Rok 1848. Dziennikarstwo w Galicyi. 8ka str. 151. Lwów 1878. 80 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

*** Na medal w dalszym ciągu przedpłacili po 3 złr.

23. Jakób Wiktor.
24. Mieczysław Darowski.
25. Hr. Ludwik Wodzicki.
26. Józef Ekielski.
27. Ferdynand Koestlich.
28. Hilary Treter.
29. Klaudyusz Dębicki z Muszyny.
30. Bolesław Śmiałowski ze Stojaniec.
31. Henryk Janko z Hoszan.
32. Henryk Janko z Hoszan.
33. Waleryan Podlewski.
34. Bartłomiej Rozwadowski z Babina.
35. Michał Gnoiński.
36. Hr. Józef Młodecki z Monasterzysk.
37. Michał Moszczański.
38. Hr. Franciszek Poletyłło z Insbrucku.
39. Szalay.
40. Ezechiel Berzewiczy z Bołszowiec.
41. Wincenty Podlewski z Wiśniowczyka.
42. Feliks Poradowski z Kotowa.
43. Jan Kanty Czerszyk.
44. Hr. Ryszard Rozwadowski.
45. Wincenty Lewicki.
46. Hr. Władysław Tarnowski.
47. Władysław Bełza.
48. Antoni Stankiewicz z Nikłowic.
49. Antoni Syroczyński.
50. Klemens Kantecki.
51. Leon Syroczyński.
52. Bronisław Wołowski z Wiednia.
53. Dr. Julian Olpiński z Trembowli.
54. Kazimierz Tuczyński z Skoryli.
55. Hr. Edmund Starzeński z Mogilnicy.
56. Izio Starzeński z Mogilnicy.
57. Emilia Kozicka z Czeremchowa.
58. Hr. Leopold Starzeński.
59. Drukarnia Związkowa.
60. Franciszek Zima.
61. Franciszek Bałutowski.
62. Maurycy Hoffman.
63. Mikołaj Biernacki z Boczowa.
64. Izydor Rozwadowski.
65. Józef Jakubowicz.
66. Dr. Józef Wernicki.
67. Ludwik Dolański z Rakowy.
68. Józef Świątopełk Zawadzki.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Śpiewnika polskiego* tomik I. już w tych dniach opuści prasę. Zawiera on wybór piosnek patryotycznych. Tomik ten prenumeratorowie „Tygodnia" otrzymają zamiast przyobiecanego losowania książek, którego urządzić nie było można z powodu przepisów prawnych.

*** Wyszedł już z druku zeszyt I. Oskara Peschla *Historyi wielkich odkryć geograficznych* w przekładzie polskim dokonanym przez Józefa Tretiaka.

*** *Hektor Servadac* powieść Juliusza Verna, uwieńczona nagrodą przez akademię nauk w Paryżu, a drukowana w „Tygodniu" wyszła w osobnem książkowem wydaniu.

*** Dnia 8. czerwca o godzinie 11 z rana odbyła się w Czeszewie rzewna familijna a poniekąd, jak dobrze jeden z mowców powiedział, i narodowa uroczystość: odsłonięcie nagrobka poświęconego pamięci Karola Libelta.

Obywatelstwo okoliczne i familia zjechała się licznie. Kościół przybrano w kwiaty i wieńce a po odśpiewaniu wigilii i odprawieniu uroczystej mszy żałobnej wstąpił ks. Bukowiecki z Wągrowca na ambonę i w wymownych słowach skreśliwszy zasługi zmarłego, zachęcał do naśladowania go w tej pracy wytrwałej i ciągłej około dobra ojczyzny. Miłość ojczyzny polskiej była treścią życia zmarłego, gwiazdą prawdziwą, którą się kierował. Pospołu z Dawidem królem wołał śp. Libelt: Jeżeli cię zapomnę, Jeruzalem, miasto święte, ojczyzno moja droga, niechaj mi uschnie ręka prawa — i na prawdę dotrzymał tej przysięgi. Ojczyźnie dał wszystko, dla niej nie szczędził pracy, majątku, krwi własnej i syna swego. Kościół czeszewski, kończył mowca, odtąd będzie miał i narodowe znaczenie, będzie zwiedzanym przez miłujących ojczyznę i szanujących tych, co jej służyli tak dzielnie jak śp. Karol Libelt.

Drugi mówca p. Ignacy Moszczeński z Wiatrowa, długoletni sąsiad nieboszczyka i niejednokrotnie towarzysz w służbie publicznej, przebiegł pokrótce żywot Libelta i podniósł mianowicie zasługi, jakie położył w rozbudzeniu na nowo życia umysłowego w W. Ks. Poznańskiem, które po klęsce r. 1831 popadło w zwątpienie i idące za tem rozprzężenie moralne.

Już pisano dawniej, że nagrobek jest skromny, chociaż gustowny bardzo i pomysłowi Prylińskiego, który go rysował, jak i pracy pp. Trembeckich, którzy go z prawdziwym artyzmem wyrzeźbili, należy się jak największe uznanie. — Jest on w stylu odrodzenia. Na płycie z czerwonego krajowego marmuru wyrzeźbiony jest napis a ta płyta ujęta w ramy (z tak zwanego pińczowskiego piaskowca), nad którémi wznosi się bardzo podobny portret nieboszczyka.

Uroczystość cała nosiła charakter bardzo poważny i podniosły i przyczyniła się niewątpliwie do podniesienia ducha patryotycznego nietylko w zebranych licznie ludziach wykształconych, ale i w ludzie, który się zbiegł, aby oddać cześć temu, którego za życia kochał a czci po śmierci!

*** Krytyk rosyjski, pan Burenin, pisząc o Nekrasowie, zwraca uwagę na pochodzenie najznakomitszych poetów swego kraju. „Rzecz prawdziwie godna uwagi, że wszyscy nasi wybitniejsi poeci nie pochodzili z plemienia czysto rosyjskiego, lecz byli mieszańcami: Dierżawin pochodził z Tatarów, Żukowski po matce z Turków; Puszkin po matce był potomkiem Araba, Lermontow po ojcu Szkota; nakoniec Nekrasow był z matki Polakiem. Polskie jego pochodzenie malowało się w pewnym względzie na twarzy: rysy jego oblicza i charakterystyczna broda mocno przypominały polskiego pana; oczy napiętnowane głębokim wyrazem zamyślenia i smutku, były, że tak powiem, nie rosyjskie. Czystej krwi Rosyanie nie mają takich oczu ani takiego spojrzenia. Zresztą nawet w charakterze Nekrasowa, ile go przeniknąć było można, znajdowały się rysy energii i kierunku, bardzo dalekie od naszej słowiańskiej (?) apatyi i dobrodusznego lenistwa".

*** Pan Kazimierz Ostrowski, znany artysta-rzeźbiarz, pomieścił na wystawie obrazów Matejki w sali ratuszowej, medalionowy w płaskorzeźbie z marmuru kararyjskiego portret mistrza.

Odznacza on się podobieństwem rysów i pełnem artystycznem wykończeniem.

Rzecz ta może stanowić rzeczywistą ozdobę każdego zbioru.

Wynalazki i odkrycia.

*** Przewrót na księżycu. Sensacyjną wiadomość znajdujemy w ostatnim numerze *Köln. Ztg.* Zdaje się — pisze ten dziennik — że ostatnie czasy powołane były do tego, ażeby z gruntu obalić pewne poglądy w zakresie astronomii, które dotychczas powszechnie uważane były za trafne. W roku zeszłym prawdziwą niespodzianką było dla świata doniesienie z Washingtonu, że tamtejszy olbrzymi teleskop dowiódł mylności dotychczasowego mniemania, jakoby planeta Mars nie posiadała żadnego księżyca; dzięki temu instrumentowi bowiem astronom Hall odkrył naraz aż dwa satelity Marsowe, istnienie których nie ulega żadnej wątpliwości. Obecnie umiejętność astronomii obdarzona jest drugą w tym rodzaju niespodzianką, a to wiadomością, że na naszym, tj. ziemskim księżycu w ostatnich czasach utworzył się nowy, wielki krater wulkaniczny. Odkrycie to powiodło się astronomowi kolońskiemu, drowi Hermanowi Klein, który od lat dwunastu poświęca się badaniu powierzchni księżyca. Aż do tych czasów wszelkie, w ciągu ostatnich lat stu dokonane przez Schrötera Maedlera i innych badania co do tworzenia się nowych wulkanów na zwróconej ku ziemi półkuli księżycowej były całkiem bezskuteczne tak, że ugruntowało się powszechne przekonanie, iż satelita ziemi jest ciałem zupełnie martwem, ciałem na wskroś przepalonem i od dawna już ostygniętem. Mniemanie to obecnie nie ma już podstawy, ponieważ dowiedzioną została czynność potężnych sił na księżycu w czasach bieżących jeszcze. Nowy krater wulkaniczny według dra. Kleina utworzył się — czyli raczej tworzy się właśnie — mniej więcej w samym środku na tarczy księżycowej, na zachód od znanego od dawna krateru, nazwanego Higinus, w pośród rozległej równiny, i w porze pierwszej kwadry przedstawia się jako czarna cienista otchłań, mająca 4.000 metrów w średnicy. Krater ten zatem większy jest od wszystkich czynnych czeluści wulkanicznych na ziemi, z wyjątkiem jednego wulkanu Kivauea na wyspie Hawai. Według obserwacyi dr. Kleina zdawałoby się; że nowy krater księżycowy dotychczas nie uformował sobie jeszcze wału obwodowego, czyli góry wulkanicznej w takich rozmiarach, iżby się odznaczała topograficznie; przedstawia się jedynie jako niezmierna otchłań, zagłębiająca się mo cno pod poziom powierzni księżyca. Bezpośrednio po zachodzie słońca widział odkrywca całą okolicę nowego krateru, na zachód od tegoż pokrytą wzgórzami lub też gruzami skał, tej zaledwie wysokości, jak nasze wieże kościelne. Dostrzegł tam także dwie wązkie stosunkowo rozpadliny czyli pęknięcia powierzchni, ciągnące się na mil kilka. Te ostatnie jednak widzieć można tylko przy pomocy wybornych instrumentów, podczas gdy do obserwacyi samego krateru wystarczą mniejsze dalowidy. Angielski selenograf Neison w latach 1871 1876 badał był z wszelką ścisłością tę samą okolicę powierzchni księżycowej i stwierdza obecnie, że wtedy nowego krateru nie widział jeszcze wcale. Wynika z tego, że dopiero w ostatnich latach utworzyła się ta czeluść wulkaniczna, a bardzo być może, iż cały szereg zjawisk przeobrażenia powierzchni jeszcze tu nastąpi. Więcej w tym względzie pewności i szczegółów dostarczą nam zapewne dalsze badania, podjęte już w Anglii i Ameryce północnej. Odkrywca trabantów Marsa, profesor Hall w Washingtonie, przyrzekł, że użyje swego olbrzymiego refraktora do dalszych obserwacyi nowego krateru. I dyrektor obserwatoryum ateńskiego, Schmidt, który także nigdy pierwej nie dostrzegł krateru owego na księżycu, gorliwie teraz zajął się badaniem natury jego, stwierdziwszy prawdziwość udzielonych mu przez dra. Kleina szczegółów.

Wiadomości ekonomiczne.

*** Niestałość koryta Wisły zagraża Płockowi wielką niedogodnością. Prąd główny rzeki pod tem miastem trzymał się prawego brzegu, nadając Płockowi pozory portu handlowego. Wszelkie statki mogły wygodnie stawać przy samem wybrzeżu, a windy wprost z ich łona dobywały ładunek i składały go przy małym udziale siły ludzkiej na brzeg, lub nawet od razu na wozy. Ładowanie zboża na berlinki, dzięki bliskości rzeki, równie łatwo z wielką oszczędnością czasu i siły ludzkiej dotąd się odbywało; rynny drewniane na stoku góry zbudowane, ze śpichrzów stojących na górze sypały zboże do środka berlinek. Wszystkie te dogodności i korzyści dziś nikną; albowiem prąd rzeki zwrócił się pod brzeg lewy, przy wybrzeżu zaś płockiem wystąpiły z wody białe ławy piaszczyste, a wśród nich mielizny tamujące żeglugę najmniejszym nawet łodziom. Ta nowa fantazya Wisły, jeżeli środki przeciw niej się nie przedsięwezmą, jeżeli skutki jej się utrwalą, odejmie Płockowi port dogodny, wpływając szkodliwie na stan ekonomiczny miasta i okolicy, przez obniżenie ceny produktów wywozowych a podrożenie przywozowych. W tym stanie rzeczy, słusznie powiada „Kor. Płocki", najważniejszą dla Płocka robotą publiczną, najpilniejszą i najżywotniejszą sprawą w chwili obecnej, byłoby przedsięwzięcie odpowiednich prac na Wiśle, celem zwrócenia prądu rzeki pod prawe wybrzeże. Wszelkie roboty zmierzające do upiększenia miasta, uprzyjemnienia i udogodnienia życia mieszkańcom powinny ustąpić miejsca tym robotom, które miałyby na celu ratowanie zagrożonego głównego warunku bytu miasta, i zabezpieczyłyby okolicę od upadku ceny jej produkcyi.

*** „Gazeta lubelska" donosi, iż oświetlenie gazowe Lublina powierzone zostało ostatecznie inżynierowi Suligowskiemu.

Sądy moskiewskie.

*** W „Gazecie Lubelskiej" czytamy opis następującego zdarzenia: Właściciel majątku zapozwał włościan o szkody w łąkach. Gdy przyszło do rozsądzenia sprawy, obie strony postawiły świadków, między którymi znajdował się zacytowany przez włościan dziad z pod kościoła, który ofiarował się przysiądz, że nigdy nie widział, aby włościanie paśli na łąkach dworskich. Pomimo spasienia łąki, a więc oczywistego dowodu, właściciel przegrał sprawę. Prawda, że prawo z zasady aplikuje wszystko, co uważa na korzyść obwinionego i zeznanie dziada przechyliło szalę sprawiedliwości; szkoda tylko, że za późno okazało się, iż dziad jest ślepy, nie rusza się z pod kościoła, a łąki quaestionis odległe są od jego zwykłej stacyi o wiorst 12 i dwoma lasami zasłonięte. Rzecz prosta, iż dziad mógł przysiądz, że czynu inkryminowanego nigdy nie widział.

Sądownictwo niemieckie.

*** Co się też to czasem pije pod nazwą wina. Jakiemuś hoteliście w Kwidzynie sprzedał sąd na publicznej licytacyi kilka set butelek rozmaitych win. Cena po której butelkę sprzedawano była w przecięciu 50 fen., a więc niezmiernie tania. Pokazało się jednakowoż, że żadna z tych butelek i tyle nie była warta, gdyż w tem niby winie ani kropli prawdziwego wina nie było. Pan hotelista fabrykował je bowiem sam ze spirytusu, cukru i anilinu, za co go też sąd na 3 miesiące więzienia skazał, żonę i szwagra, którzy mu w tem dopomagali pierwszą na miesiąc, drugiego na 8 dni.

*** Aresztowano w Lesznie wdowę Karolinę Cerbińską za obrazę majestatu i skazano ją na dwa lata więzienia; stolarza Słyszyńskiego z Szlichtyngowy osadzono za toż samo w więzieniu. Niemców nie wymieniamy, bo tych, jak donoszą pisma, we wszystkich stronach zjednoczonych Niemiec, tuzinami aresztują i za lada żarcik lub trywijalne wyrażenie sądy skazują na 4, lub 5 lat więzienia. *Oto jaskrawa niezależność sądownictwa niemieckiego.* Że takie rzeczy dzieją się w despotycznej Moskwie, gdzie car a Bóg to jedno w pojęciu ludu, nikogo nie dziwi, ale dziwić każdego musi, gdy coś podobnego dzieje się w Niemczech konstytucyjnych, gdzie car a człowiek to jedno — tak się przynajmniej dotąd zdawało, obecnie jednak okazuje się, że car niemiecki to coś większego od Boga, bo za bluźnierstwo przeciwko Bogu i trzech dni aresztu nie naznaczają, a za wesoły żarcik z cara pruskiego aż kilka lat więzienia. Zaprawdę czasy Wilhelma porównywane będą z czasami Nerona i Dioklecyana.

*** Z Poznania donoszą tamtejsze dzienniki o sensacyjnym wypadku. W okolicy miasteczka Samostrzela we wsi Kaźmirz popełniono przed sześciu laty morderstwo. O zbrodnię obwiniony został pewien czeladnik rzemieślniczy, który z zamordowanym nocował w oberży, i po przeprowadzonem śledztwie, skazany został przez sąd przysięgłych na dożywotnie wiezienie, którą to karę odsiaduje w Rawiczu. Obecnie inny zbrodniarz, pokutujący także za morderstwo w więzieniu Sonnenberskiem, dobrowolnie zeznał, że ma na sumieniu zbrodnię dokonaną w Kaźmirzu pod Samostrzelem. Przywieziony na miejsce okazał taką znajomość położenia i tak dokładnie opisał fakt, że nie pozostaje żadnej wątpliwości, iż w samej rzeczy był sprawcą zbrodni, za którą inny już 6 lat w więzieniu siedzi.

Nekrologia.

*** *Przemysław Babski*, żołnierz z r. 1863, zakończył żywot dnia 3 czerwca b. r. w Ottyni. Zmarły prawością charakteru i gorliwością w pełnieniu obywatelskich obowiązków zasłużył sobie na powszechny szacunek a przedwczesny zgon jego wywołał żal szczery.

ROZMAITOŚCI.

*** Djabeł morski. Australski „Standard" opowiada o następującem zdarzeniu: Pewien nurek, nazwiskiem Smale, zatrudniony był rozsadzaniem skał

podwodnych przy ujściu rzeki Moyne pod Belfast (w Australii). Dnia 7. lutego podwaliwszy na dnie morskiem minę, dał się na łańcuchach spuścić pod wodę, ażeby ponawiązywać na nie rozsadzone wybuchem kamienie. Kiedy już na dnie morza przygotował jeden z głazów do wydobycia, uczuł się nagle objętym przez potężne jakieś ramiona. Ku największemu zdumieniu i przerażeniu swojemu ujrzał po chwili, że w uścisku tak kordyalnym trzyma go olbrzymi potwór, zwany „dyabłem morskim“ (Sepia L.), posiadającym kilka par odnóży, niby ramion olbrzymich. Zrazu zaczął się nieszczęśliwy nurek szamotać z całych sił w nadziei, że powiedzie się mu wymknąć z objęć potworu, jednakże gdy ten ostatni, puściwszy się skały, której jeszcze się trzymał, tem silniej ściskać go zaczął, przyszedł do przekonania, że tylko jak najszybsze wydostanie się na powierzchnią wody uratować go może od najstraszniejszej śmierci. Dał więc towarzyszom umówiony znak, ażeby go wyciągnęli, co też prędko uczynili natychmiast, i ujrzawszy, co zaszło, prędko uwolnili nurka z uścisków potworu, którego ubito. Każde z ośmiu ramion jego miało 4 stopy długości a grubość pięści, a wszystkie po stronie zwróconej do ciała pokryte były sutkami, które pozwalają zwierzęciu z tem większą siłą przytrzymywać zdobycz. Smale zapewnia, że potwór posiadał dość siły, by 3 ludzi przytrzymać pod wodą.

⁂ Żydzi indyjscy. Korespondent dziennika „Fremdenbl.“ z Adenu opisuje wrażenie, jakie na nim sprawiły wojska sprowadzone obecnie przez Anglię z Indyj wschodnich do Europy, oraz Żydów indyjskich, których pewna liczba znajduje się pomiędzy żołnierzami. Żydzi ci są czarni, jak murzyni, ojczyzną ich bowiem jest wybrzeże Malabaru, gdzie żyją w osobnych osadach, mianowicie w okolicy miasta Koczynu. Uważają się oni za potomków owych Izraelitów, których król Salomon posłał do Indyi, ażeby tam wyuczyli się sposobu łowienia słoni oraz górnictwa. W ciągu trzydziestu wieków potomkowie rasy śródziemców zmienili zupełnie cerę białą na czarną tak, że pod tym względem dziś już wcale się nie różnią od innych plemion, obok nich zamieszkujących krainę Dekhan. Ojczystym swym językiem hebrajskim już dawno nie mówią, ale używają narzecza zwanego hindi, w którem spisane mają także swe księgi święte i modlitewniki. W ogólności z ksiąg świętych uznają jedynie biblią, której egzemplarze pisane tylko posiadają. Z dni świątecznych przestrzegają tylko sabbath i święta wielkanocne, nawet „święta pojednania“ nie obchodzą, jak wszyscy inni żydzi angielscy. I pod względem reguły w wyborze potraw różnią się od swych białych współwierców. Ci ostatni przybyli do Indyi wschodnich dopiero z początkiem szesnastego stulecia, i nie uznają Izraelitów malabarskich za prawdziwych potomków Izraela, podczas gdy na odwrót tamci zowią się sami Beni Izrael (t. j. synami Izraela) i na dowód pochodzenia swego wykazują się przywilejami, nadanemi im przez jednego z prastarych królów indyjskich, Czandrakuptę (Sandracottus), współczesnego Aleksandrowi Wielkiemu, który ulubieńca swego, Megastenesa posyłał był na dwór monarchy owego, oraz chełpią się posiadaniem kilku modlitw, ułożonych przez samych patryarchów. Czarni żydzi w Malabarze żyją w wielkim niedostatku i niewiadomości, utrzymując się po największej części z uprawy roli i zarobku dziennego. W dawniejszych czasach uciskani bywali srodze przez rządy krajowe indyjskie, obecnie jednak, pod zwierzchnictwem angielskiem, mają wszelką swobodę i zadowoleni są ze swego położenia. W mieście Koczynie nawet, podobnie jak w Rzymie, mają rodzaj swego Ghetto (Mata Cziri) i posiadają własne sądy i straż gminną. Pomiędzy służącymi w armii angielskiej wielu z nich uzyskało stopnie i odznaki wojskowe.

⁂ J. K. Mość Nasr-ed-Din, wyjechawszy z Warszawy w sobotę dnia 1. bm., przybył tegoż dnia do Berlina.

Nazajutrz cesarz Wilhelm wizytował swego gościa, poczem Nasr-ed-Din udał się do pałacu.

Po półgodzinnej rozmowie Szach opuścił siedzibę królewską, a w ślad za nim cesarz niemiecki wyjechał na przechadzkę.

W tej samej prawie chwili Nobiling wypalił ze swej morderczej broni...

Było to dzieło jednej chwili...

Wstępujący na schody hotelu Szach dowiedział się natychmiast o katastrofie.

Na J. K. Mości wieść ta sprawiła wielkie wrażenie.

Uwierzyć prawie nie mógł, aby człowiek, którego dłoń przed chwilą ściskał padł ofiarą śrutobójczego zamachu.

Zwarzony tym niespodzianym wypadkiem, Szach zmienił kierunek podróży i dla odpoczynku postanowił udać się do Baden-Baden.

UDZIEC SARNI.

Nowella.

Mało tak zgodnych i przykładnych małżeństw na świecie, jak państwo Doblet. Ona trzydziesto dwuletnia w pełnym rozwoju piękności kobieta, on mały, szczupły, rozpoczynał zaledwie czterdziesty rok życia.

Nigdy, najmniejsza chmurka nie zakłóciła ich spokoju domowego. Bezdzietni, żadnemi obowiązkami nie krępowani, zadowoleni z siebie i ze świata, przeżywali corocznie cały swój dochód, wynoszący dwanaście tysięcy franków, nie potrzebując myśleć o jakichbądź oszczędnościach.

12 stycznia roku bieżącego, pani Doblet przebudziwszy się raniej niż zwykle, rzekła do męża:

— Pamiętasz mężu, że piętnastego mają być u nas na obiedzie państwo Johnston; czas by już był pomyśleć o jakich przygotowaniach.

— Główna rzecz, moja kochana, aby było coś posilnego; Anglicy lubią zjeść fundamentalnie, i nie bardzo gustują w naszej francuskiej kuchni.

— O to najmniejsza; zwierzyny nie brak teraz na targu; dziś jeszcze kupię udziec sarni, żeby nie był zanadto świeży, a resztę co będzie potrzeba, dokupi się w sam dzień obiadu.

W godzinę później pani Doblet wracała z miasta do domu, a służąca niosła za nią przepyszną sarnią pieczeń. W bramie wręczył jej komisyoner bilecik.

— Masz tobie! — zawołała wchodząc do mieszkania — tylko nam coś podobnego zdarzyć się może! Pani Johnston pisze do mnie, że nie mogą być u nas na obiedzie, bo jej mąż zaziębił się i nie opuszcza mieszkania.

— Mniejsza o to! — zauważył pan Doblet.

— Mniejsza o to! — powtórzyła z goryczą małżonka — wcale nie mniejsza, bo udziec sarni już kapiony!

— Ach!

— Tylko ach!! — oburzyła się zirytowana pani — na więcej nic się zdobyć nie możesz?!

— A cóż chcesz, do licha! żebym więcej zrobił? Zjemy sarninę sami i koniec.

— Zapewne! dwanaście funtów mięsa na nas dwoje! Przez cały miesiąc byśmy nie zjedli.

— Przesadzasz, moja droga — odparł mąż spokojnie. — Zresztą, na twojem miejscu, zwróciłbym sarnę kupcowi.

— Próżna rada, bo nie zechce przyjąć.

— Ha! to zjełzmy sami, kiedy inaczej nie można...

— Wiesz co, a gdybyśmy Carteretów, tak, bez wielkich ceremonii? Doda się jaka zupa i legumina, i będzie już cały obiad.

— Doskonała myśl! Bo, prawdę mówiąc, wszystko jedno, czy sarnę zjedzą państwo Johnston, czy państwo Carteret.

— Rozumie się; myślę jednak, że przy jednej okazyi, nie zawadziłoby poprosić i Wiktora.

— Twojego kuzyna, który ci wytoczył proces o spadek po stryju?

— Właśnie dlatego; wiesz, co powiedział adwokat, że lepiej byłoby się ułożyć, bo nie wielkie mamy szanse wygrania.

— Dobrze więc; dla miłości stu tysięcy franków, zgoda na kuzyna Wiktora. Tylko, że prosząc jego, trzeba będzie zaprosić i Sebillarda z siostrzenicą. Wiktor stara się o jej rękę.

— Masz słuszność; to go dobrze usposobi dla nas. A zatem będzie wszystkiego pięć osób i nas dwoje. Zaraz pójdę poczynić konieczne przygotowania.

Kiedy pani Doblet po walnej naradzie z kucharką, wróciła do pokoju męża, zastała go siedzącego przed kominkiem, ze szczypcami w ręku i głęboko zamyślonego.

— Wiesz co, Natalciu — przemówił łagodnie — myślę nad tem, czy nie narazimy się Tardifom i Greloupom, gdy się dowiedzą, żeśmy ich nie zaprosili na obiad.

— Że się obrażą, to nie ma wątpliwości.

— Możeby lepiej wcale nie dawać obiadu?

— Tak, a mój udziec sarni?

— To prawda; ha! w takim razie trzeba i ich zaprosić, a oprócz tego Lestada, bez którego Tardifonie nigdzie się nie ruszą i pana de Saint-Long, naszego protektora. Widzisz, że to wcale nie żarty.

— Byle tylko pomieścili się wszyscy w jadalnym pokoju; Greloupów jest czworo, a Tardifów trzy osoby, nie wiem przytem, czy mi wystarczy talerzy i nakryć na tyle osób.

— Policz co masz, a potem zobaczymy co wypadnie dalej robić.

Po niejakiej chwili zjawiła się znowu pani Natalia z wiadomością, że brakuje jej wszystkiego: srebra, talerzy i serwet.

— Zaprośmy mniej osób.

— Dlaczego? — odparła pieszczotliwie pani Doblet — od dawna już zbierałam się, żeby dokompletować naszą zastawę stołową, a tak przy jednym ogniu dwie pieczenie upieczemy. Cały kredensik nie wyniesie więcej jak kilkaset franków.

— Możemy sobie pozwolić na ten mały zbytek, bo coś podobnego nie często nam się zdarza. To mi przypomina, że jadalny nasz pokój wcale niepokaźną ma minę. Wartoby go cokolwiek odświeżyć!

— Tembardziej, że Tardifonie, którzy mają swoją własną willę, gotowi by nas wziąć na fundusz i wyśmiać naszą staroświeczczyznę...

— A pan de Saint-Long coby pomyślał sobie na takie lekceważenie jego osoby! — dorzucił pan Doblet — chciałbym więc też zawiesić zegar szafkowy w miejsce sztychu: „*Ostatni nabój*...“ Zresztą chodźmy zobaczyć, czego tam jeszcze brakuje

Przeszli oboje do stołowego pokoju.

— O, patrz — mówił pan Doblet — tu, zawieszę zegar, a tu poumieszczam kilkanaście sztuk staroświeckiej porcelany; bo teraz bardzo w modzie.

— Dobrze, ale ileż myślisz na to wydać? Nie możemy przecież tysiące franków wyrzucać na skorupy.

— Tysiące! zkądżeż znowu! Nie obawiaj się; prędzej bym się wyrzekł wszystkich proszonych obiadów razem z panami de Saint-Long, Tardif i Greloup, ażeli miałbym takie szaleństwo popełnić.

— Bo, widzisz, mnie się zdaje, że twoja porcelana i zegar nie wystarczą na przyozdobienie całego pokoju; już kiedy coś robić, to trzeba robić porządnie.

— Jak to rozumiesz?

— Jabym myślała, że potrzebniejszy tu jest elegancki kredens, à la rococo, z wielką krusolą do krajania pieczystego; przytem, tam w kącie stolik na talerze i butelki, pod ścianami z półtora tuzina krzeseł, a co najważniejsza, stół okrągły, rozsuwany...

— Nie mam nic przeciwko temu, ale od porcelany i zegara nie odstąpię, bo co moda to moda; nad kominkiem trzeba też umieścić jaki obraz, coś z martwej natury, tylko, że to kosztować będzie najmniej z pięćset franków.

— I żyrandol należałoby dać nowy...!

— Auchol, który ma zamiar zostać dziennikarzem, zapewniał mnie kiedyś, że co do obrazów to sto razy lepiej jest drożej zapłacić, bo potem, jak malarz umrze, to można grubo na tem zarobić.

— A jeżeli nie umrze?

— Zkądże przypuszczenie, że malarze nie są również śmiertelni jak wszyscy ludzie?

— Widzę już, że to nas sumy będzie kosztować — zauważyła pani Doblet.

Przeciągłe milczenie.

Ale pani Natalia nie może wyrzec się kredensu, pan małżonek zaś zapalił się do starej porcelany. Porozumienie więc wprędce nastąpiło.

— Na tej pustej ścianie, zawiesi się kilka miedzianych odlewów naśladujących płaskorzeźby, przy tem kilka drobnostek i.....

— Ostrożnie mężu, bo w ten sposób i dwa tysiące nie wystarczy...

— Co ty mówisz, dwa tysiące! Co najmniej trzeba liczyć półczwarta tysiąca....

— To za wiele.

— Zjedzmy zatem udziec sami, we dwoje.

Znowu głęboka cisza.

— O czem myślisz? — pierwsza przerwała milczenie pani Doblet.

— Robiłem obliczenie, wypada mi mniej więcej przeszło trzy tysiące franków.

— Dodaj do tego dwa tuziny widelców i nożów, siedm do ośmiu tuzinów talerzy, cztery kompotyerki, półmiski

i salaterki. A waza! nasza jest wyszczerbiona, trudno zaś przy proszonym obiedzie...

— Rozumie się; dojdzie ogółem do 4.000. I cóż ty na to?

— Co ja na to? a ty co?

— Ja myślę tylko, że to jest trzecia część rocznego dochodu naszego.

— Możemy dla oszczędności, dwa miesiące dłużej na wsi pozostać...

— Zresztą, jest to wydatek raz na zawsze......

— Kiedy więc już wszystko zdecydowane, nie traćmy czasu. Na szczęście, musimy termin obiadu odłożyć do ośmnastego, bo sarnina czem dłużej w occie leży, tem lepsza. Ty zajmij się umeblowaniem, a ja resztę sprawunków wezmę na siebie.

— A nie zapomnij o szklankach, pewno nie pomyślałaś o tem, a to szesnaście osób, to nie żarty.

— Masz słuszność byłabym na śmierć zapomniała!.. Tylko, proszę cię mój mężu, targuj się dobrze, nie dawaj więcej jak połowę tego, co ci zacenią.

— Oho! już ja się nie dam oszukać!

O godzinie 7 wieczorem pani Doblet powróciła do domu. W kwadrans później zjawił się i pan mąż, zmęczony, zziajany, bez tchu prawie, ale za to sprawunki wszystkie były porobione.

— I cóż?

— I cóż? — zawołali jednocześnie oboje.

— Ah! drożej mi wypadło niż myślałem. Szczególniej porcelana. Anim się spodziewał, żeby skorupy mogły tyle kosztować. Z twoim kredensem także miałem niemało kłopotów.

— Co do mnie, nie przekroczyłam wcale proponowanej summy, tylko że przy obliczaniu o wielu rzeczach zapomniałam, naprzykład o menażerce do octu i oliwy, moja już była do niczego, a zdarzyła mi się dobra sposobność i kupiłam srebrną razem z solniczkami. Wiesz, że srebro nie traci nigdy na wartości; to mnie skusiło i za jednym zachodem kupiłam maszynkę do kawy, imbryk do herbaty, cukierniczkę i tackę...

— Wszystko srebrne? — zapytał nieco zachmurzony pan Doblet.

— Cóż chcesz? Kupiłam prawie za bezcen, a taka sposobność nie prędko się zdarzy. Ah! byłabym zapomniała powiedzieć ci, że kupiłam i noże, dwa tuziny zwyczajnych i tuzin mniejszych, deserowych. Zobaczysz jakie gustowne.

Pan Doblet wielką miał ochotę wyłajać żonę za jej marnotrawstwo, ale on sam tak dalece przekroczył oznaczoną pierwotnie kwotę, że uznał za właściwsze nie odzywać się wcale.

Nazajutrz zaczęto dostawiać zakupione przedmioty. Pan Doblet dał dowód, że się zna na rzeczach. Kredens był prześliczny, stół paradny, krzesła nie pozostawiały nic do życzenia.

— Ah! otóż i obraz. Ale trzeba ci wiedzieć, moja droga, żeśmy się grubo pomylili w cenie. Widocznie obrazy martwej natury więcej kosztują od innych.

— Ciekawam, dlaczego!

— Z przyczyny modelów; żeby malować z natury, artysta musiał kupić na targu zające, owoce, ryby, a że się to wszystko prędko psuje, trzeba więc coraz inne kupować. Ztąd i cena obrazu wygórowana.

— Koniec końców ile zapłaciłeś?

— Lepiej się nie pytaj.

— Ba! nie ma czego żałować, bo pewnie już drugi raz w życiu nie zbierzemy się na podobny wydatek.

— Nie ma czego żałować — powtórzył małżonek, który umyślnie zniżał cenę wszystkich zakupionych przedmiotów, żeby nie psuć sobie humoru.

Zadzwoniono po raz dwudziesty może.

— Cóż tam znowu? — zapytał mąż.

— Eh, nic; to tylko bielizna stołowa. Nie wspominałam ci jeszcze, że kupiłam obrus i dwa tuziny serwet. Powiadam ci, że prawie za darmo, płótno holenderskie.

— Czy to już wszystko? — mruknął zasępiony pan Doblet.

Kiedy już pokój stołowy był urządzony, pan Doblet nie mógł nacieszyć się swem dziełem.

— Cóż powiesz? — zapytał.

— Tyle tylko, że teraz nie mam już odwagi wejść do bawialnego pokoju.

— Idź sam, to się przekonasz.

— Pan Doblet przeszedł do salonu; w samej rzeczy meble wydały mu się zużyte, dywan wytarty, garnitur na kominku bez żadnego gustu. Wszystko miało pozór śmiesznej staroświecczyny.

— Ależ tu niepodobna — zawołał — przyprowadzić gości po obiedzie na kawę!

— A widzisz! Tardif miałby słuszny powód do robienia szyderczych przymówek.

— Nie ma rady; trzeba i tu odpowiedni ład zaprowadzić.

— Koniecznie.

Doszli już do tego punktu, w którym człowiek utraca pojęcie o ważności pieniędzy; gotów jest zrujnować się do szczętu, byleby tylko zaspokoić chwilową żądzę wydatku.

W ciągu dwóch następnych dni zmieniono obicia w salonie; wcale przyzwoite jeszcze meble zastąpiono innemi najświeższej mody, na kominku znalazł się nowy garnitur, okna i drzwi przysłonięto gustownemi zasłonami, posadzkę okrył świeżutenki dywan a w rogach salonu, na czarnych rzeźbionych konsolach wznosiły się wyborowe oranżeryjne krzewy.

Gdy już wszystko było skończone, państwo Doblet przypatrzyli się całemu urządzeniu, potem spojrzeli sobie w oczy i szepnęli oboje z na wpół kwaśnym uśmiechem:

— Jesteśmy szaleni!

Nadszedł nareszcie dzień uroczysty. Zaproszeni goście nie mogli utaić swego podziwienia. Tylko kuzyn Wiktor dość niezadowoloną miał minę. Na nieszczęście, pan de Saint-Long i państwo Carteret nie przybyli; pierwszy spostrzegł się Wiktor i oświadczył głośno, że za żadne pieniądze nie siędzie do stołu w trzynaście osób. Dla dogodzenia kapryśnemu kuzynowi, trzeba było posadzić przy stole dwie małe dziewczynki, jedną Greloup i jedną Tardif, co bynajmniej nie wpłynęło na ożywienie towarzystwa.

Silono się jednak nad utrzymaniem dobrego humoru. Tardif, jako były ajent giełdowy, zaczął rozprawiać o pożyczce tureckiej.

— Wcale nie żałuję tych — mówił — co potracili na niej majątki. Trzeba być głupcem, żeby tak nieostrożnie...

— Kogo pan nazywasz głupcem? — przerwał mu gwałtownie kuzyn Wiktor, będący zapewne ofiarą finansowej nieporadności Wysokiej Porty.

Pan Doblet wmięszał się w rozmowę, ale zamiast pogodzić, rozjątrzył tylko sprawę i byłoby już przyszło do osobistych obelg, gdy na szczęście przynajęty lokaj wniósł na półmisku okazały udziec sarni....

Zjawisko to wywarło przyjemne wrażenie na obecnych. Wszelkie waśnie przycichły. Udziec sarni postał chwilę na stole dla popisu, a następnie, przeniesiono go na konsolę przy kredensie, gdzie gospodyni zaczęła go krajać.

Przy pierwszem jednak zacięciu noża, nader silny a nieprzyjemny odór rozszedł się po całym pokoju i ogarnął biesiadników. Wszyscy z miejsca się zerwali.

— Ah, Boże, co to znaczy! — zawołała mimowolnie pani Doblet.

Goście dobyli chustek, chroniąc w nich swe nosy. W istocie, udziec okropnie *czuć* było zwierzyną.

— Są amatorowie... zaczął nieśmiało pan Doblet.

— Amatorowie obrzydliwości! — nie dała mu dokończyć pani Tardif

— Wynieście półmisek! — zawołała pani Doblet.

Udziec znikł, ale zapach pozostał. Greloup zaproponował otwarcie okien, ale z powodu silnego mrozu, ani myśleć o tem nie było można. Przeszli wszyscy do salonu gdzie podano kawę. Kawa była przydymioną.

Na dany znak przez kuzyna Wiktora, goście zaczęli się wynosić. Za chwilę nie było już nikogo.

Pani Natalia zemdlała.

Nazajutrz rano, w okropnym przebudziła się humorze. Przedewszystkiem gniew swój wywarła na kucharce, którą wypędziła ze służby, za to, iż nie uprzedziła ją, że udziec sarni za długo leżał w occie.

Następnie zwróciła się do męża, któremu przed chwilą właśnie zaczęli dostawcy znosić rachunki.

— Założyłabym się — zawołała — żeś wydał z jakie 10.000 franków na to wszystko!

— Dziesięć tysięcy! — odparł z goryczą. — Przeszło ośmnaście tysięcy!

— To niepodobna!

— Zachciało ci się proszonych obiadów! Masz je teraz!

— Sam chciałeś tego przecież!

— Ja chciałem! To ja kupiłem niepotrzebnego srebra za 1.700 franków? To ja kupiłem udziec sarni? stary udziec starej sarny, zdechłej może przed miesiącem.

Oburzona ambicya pani Doblet nie mogła znieść takiej obelgi.

— Głupiec jakiś! — zawołała.

— A ty waryatka!

— Ja waryatka! waryatką mnie nazwał!

Rozjątrzenie wzajemne dochodziło już do ostatnich granic.

— Radzę ci, żebyś sama zjadła ten przeklęty udziec, co mnie kosztuje dziesiątą część całego majątku. Na samą myśl o nim, wściekłość mnie porywa! Sam nie wiem doprawdy do czego byłbym zdolny, gdyby mi kto jeszcze raz w życiu wspomniał o udźcu sarnim!!

— Czy tak? — podchwyciła rozgorączkowana pani Natalia. A więc: udziec sarni! udziec sarni! udziec sarni!..

— Milcz!

— Udziec sarni! udziec sarni! udziec...

Pan Doblet nie wytrzymał dłużej. Przyskoczył do żony i ręka jego spoczęła na rozognionej jej twarzy.

— Policzek! Pan śmiałeś mi dać policzek!! Idę do rozwodu!..

— Idź do djabła samego, jeśli ci się podoba!..

Porwał kapelusz i wybiegł na ulicę.

Chodził długo nie mogąc się uspokoić; nareszcie pod wieczór uczuł głód; przypomniał sobie, że od wczoraj nic w ustach nie miał. Wstąpił przeto do najbliższej restauracyi.

— Co macie na obiad? — zapytał.

— Wszystko co pan rozkaże — odrzekł garson — zupa Saint-Germain, ostrygi i — dodał konfidencyonalnie — może być przepyszny..... udziec sarni...

Zaledwie domówił tych słów, gdy pan Doblet zerwał się jak wściekły i silny odgłos policzka rozległ się po sali. Oszołomiony garson tak niespodzianym napadem, potoczył się, o mało nie upadł, ale w tejże chwili schwycił za kołnierz napastnika i przy pomocy innych gości, oddał go w ręce policyi.

Sprawa o udziec sarni skończyła się dla pana Doblet kilkodniowym aresztem i zapłatą pięciuset franków dla pokrzywdzonego garsona. *Kamil Debans.*

OD WYDAWNICTWA.

Zmuszeni zaprowadzić oszczędność w wydatkach, od 1. lipca zaprzestajemy wysyłać i rozdawać gratysowe egzemplarze *Tygodnia.*

Treść Nr. 48.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.